Cena zł. 1.30 Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

15 Marzec 1926. Nr. 6 (73).

PRZEGLĄD MYŚLIWSKI i ŁOWIECTWO POLSKIE





TERMINY OCHRONNE.

Zarząd Centr. Zw. Pol. stow. łowieckich wykonywując uchwałę Zjazdu Delegatów i Członków Zarządu z list. 1925 r. podaje poniżej terminy ochronne opracowane przez Zarząd na posiedzeniu z dn. 13 lutego 1926 r.

	czas ochrony	wolno strzelać
łoś byk	1/I — 31/VIII	1/X — 31/XII
jeleń byk	1/II — 14/IX	15/IV — 31/I
kozioł	1/II — 30/IV	1/V — 31/I
Zaleca się nie odstrzeliwać kozłów od 15/VII — 15 VII, w czasie rui.		
zając	1/II — 14/X	15/X — 31/I
bielak	16/II — 31/X	1/XI — 15/II
głuszce koguty	16/V — 14/IV	15/III — 15/II
„ kury	cały rok	
cietrzewie koguty	1/VI — 31/VIII	1/VIII — 31/V
„ kury	cały rok	
bażanty koguty	1/II — 31/VIII	1/IX — 31/I
„ kury	cały rok	
Czas ochrony nie dotyczy bażantów hodowanych w bażantarniach.		
kuropatwy	1/XII — 31/VII	1/IX — 30/XI
Dla Woj. Wileńskiego, Nowogródzkiego, Białostockiego, Poleskiego i Wołyńskiego kuropatwy.	1/XI — 31/VIII	1/IV — 31/X
przepiórki	od przyl. — 14/VIII	15/VIII — do odl.
jarząbki	15/II — 14/VIII	15/VIII — 14/II
słonki	16/II — 14/VIII	15/VIII — 15/V
kaczki	1/II — 14/VII	15/VII — 31/III
kaczory	1/VI — 14/VII	15/VII — 31/V
bekasy, dubelty, kuliki, błotne i wodne	1/III — 14/VII	15/VII — 28/II
bataljony	1/IV — 14/VII	15/VII — 31/V
łabędzie i gęsi	15/V — 31/VII	1/VIII — 14/V
dropie	1/II — 14/VIII	15/VIII — 31/I
drozdy, paszkoty kwiczoły	1/III — 14/VIII	15/VIII — 28/II

Zjazd upoważnił Zarząd do ustalenia i rozesłania swym członkom terminów ochronnych zwierzyny, które uważać będzie za najwłaściwsze. Terminy te będą miarodajne dla członków Centr. Związku, do czasu uchwalenia przez władze nowej ustawy łowieckiej. Zjazd zobowiązał wszystkie Towarzystwa należące do Centr. Związku do przestrzegania ustanowionych przez Zarząd terminów i wzięcia moralnej odpowiedzialności za stosowanie się do wspomnianej uchwały zjazdu.

Z PRZYLOTÓW WIOSENNYCH.

Przesyłam parę spostrzeżeń o przylocie wiosennym ptactwa. Dnia 19 lutego widziałem kuropatwy parami. Dnia 20 lutego spostrzegłem pierwsze skowronki, tegoż dnia widziałem stado dzikich gęsi, lecących z zachodu na wschód.

Dnia 24 lutego spotkałem na łąkach kilka sztuk czajek.

Dnia 25 lutego zapadły na rozlewie rzeki Ochni dzikie gęsi, lecz leciały ze wschodu.

Dnia 26 lutego przymrozek 3° dzikie gęsi leciały znowu ze wschodu na zachód, kilkaset sztuk zapadło na rozlewie rano i przebyły do nocy, lecz spłoszone, odleciały.

Dnia 27 lutego przez cały dzień gęsi siedzą na rozlewie, ciągnących na wschód wcale nie widać, tegoż dnia widziałem stadko szpaków.

Krzyżanówek, powiatu Kutnowskiego.

Gustaw Różycki.

EX LEX.

W dniach 10, 11 i 12 lutego r. b. na polach i w lasach, należących do jednego z większych obywateli ziemskich, łapano zające w sieci na sprzedaż, w celach hodowlanych. Ponieważ zamówienia nadchodziły wyłącznie na samice, administracja powyższych majątków postawiła zamawiającym warunek, że najmniej 2 samce muszą być nabyte na 5 sztuk samic. Wszystko byłoby w należytym porządku, gdyby nie to, że na 1000 prawie złapanych zajęcy, było mniej więcej 500 samców i 500 samic, z czego 200 samców było sprzedanych wraz z 500 samicami. Nasuwa się pytanie, co się stało z pozostałymi 300 samcami? Puścić ich z powrotem do rewiru w żaden sposób nie można, gdyż byłaby zbyt wielka przewaga po stronie samców, co b. ujemnie mogłoby wpłynąć na rozwój zajęcy, a nabywców tylko na samce nie było? Otóż poradzono sobie w bardzo prosty, nieskomplikowany sposób, a mianowicie: pozostałe 300 samców zabito przez uderzenie między słuchy i sprzedano żydkom do Łodzi.

Czy wobec powyższego odpowiednie władze z Referatem Łowiectwa na czele, mając na względzie dobro naszego łowiectwa, nie zajęłoby się wyświetleniem tej smutnej bądź co bądź sprawy, zabijania złapanych zajęcy w czasie ochronnym, gdy hodowca ma do rozporządzenia pełnych 4 miesiące, t. j. październik, listopad, grudzień i styczeń?

Czy wobec tak jawnego pogwałcenia ustawy łowieckiej, nie byłoby wskazanem pociągnięcie winnych do surowej odpowiedzialności, aby na przyszłość uniknąć tych karygodnych nadużyć, podrywających autorytet władz, które wydają przepisy

i rozporządzenia, przez pewne sfery naszego społeczeństwa w najwyższym stopniu lekceważone?

Czyż ciągle ma nam się nasuwać hańbiące nas zdanie: „Polska nierządem stoi?“

Czyż niema hamulca na tych, którzy nie uznając żadnych przepisów prawa, wydanych przez prawodawstwo polskie, rządzą się u siebie, jak w dżungli afrykańskiej?

Co sobie myśli myśliwy - włościanin, widząc zabijanie zajęcy w czasie ochronnym, pałką, których jemu nie wolno zabijać fuzją? Odpowiedzią na to pytanie niech będzie moja rozmowa z pewnym myśliwym - włościaninem, obserwującym wraz ze mną łapanie zajęcy, który był zdania, że wszelkie przepisy i rozporządzenia pisane są tylko dla maluczkich, możnych jednak tego świata nie obowiązują.

Wogóle łapanie zwierzyny w czasie ochrony, nawet w celach hodowlanych, uważam za nadużycie, a cóż dopiero mówić o zabijaniu takowej. Czas ochrony nie na to jest przez prawo ustanowionym, żeby zwierzynę łapać i dobrze sprzedać, a co się nie da sprzedać — zabić, lecz po to, aby z pierwszym dniem czasu ochrony, a zatem w przeddzień prawie rui, zapanował w rewirze bezwzględny spokój, bez czego nie możemy liczyć na poprawienie naszych zwierzostanów, o czem się tyle pisze i mówi.

Na żądanie służę bliższemi informacjami.

J. Kawczyński.

Ostrowy — Warszawskie, 1 marzec 1925.

POLOWANIE W MIEŚCIE.

Mieszkam na Powiślu. W dnie świąteczne mam zwyczaj chodzić na dłuższe spacery przez most ks. Poniatowskiego na pola, leżące poza parkiem Skaryszewskim. Jesienią wykryłem na tych polach parę stadek kuropatw i kilka zajęcy. Sprawiało mi wiele przyjemności obserwowanie zwierzyny w tak bliskiem sąsiedztwie miasta. Byłem pewny przytem jej bezpieczeństwa, wobec zakazu urządzania polowań i strzelania w granicach m. Warszawy. Aliści podczas ostatniego spaceru, w niedzielę, dn. 24 stycznia, między godziną 12 a 2 w południe, zauważyłem tam właśnie formalne polowanie w kocieł, urządzane ni mniej, ni więcej, jak przez funkcjonarjuszy Policji Państwowej z oficerem tejże na czele. Ciekawe, że Sz. p. oficer obrał sobie stanowisko na drodze, tuż poza parkiem Skaryszewskim. Widziałem 2 zające, które wymknęły się z kotła i skryły się w parku.

Pytanie: czy prawa i zarządzenia są pisane tylko dla jednej kategorji obywateli, z pominięciem drugiej i czy ci, którzy winni strzec wykonywania praw, mogą dawać jaskrawy przykład naruszania tychże?! *Zygmunt Lalik.*



CAMERA OBSCURA.

„Podręcznik dla leśniczych“ Zdzisława Jastrzębskiego. Książnica naukowa w Przemyślu.

Niedźwiedź — według „Podręcznika“ „jest pospolity jeszcze... w Puszczy Białowieskiej“. Istna rewelacja! Więc jednak dyr. Zaniewski dokonywa tam cudów — a my o niczem nie wiemy. Mnoży niedźwiedzie — a my ubolewamy nad kłusownictwem w Białowieży.

Jak bardzo ludzie są nieraz niesprawiedliwi! „Głupi niedźwiedziu, gdybyś w... Białowieży siedział — nigdyby się Jastrzębski o tem nie dowiedział“, jak mówi nasz wieszcz. Ale ponieważ — nie siedzisz — więc się dowiedział.

Dowiedział się również, iż niedźwiedź porywa „owcy (sic!) i kozy“.

„Myśliwy, rzucając niedźwiedziowi na pastwę bałwana, rzuca cień...“ pisze dyr. Jastrzębski, a czytelnik nie wie kogo bardziej żałować, czy bałwana, rzuconego na pastwę niedźwiedzia, czy niedźwiedzia, oddanego na pastwę bałwana.

Niedźwiedź podobno „za młodu schwytany, daje się różnych sztuk wyuczyć“. Niech się uczy — byle nie z „Podręcznika dla leśniczych“.

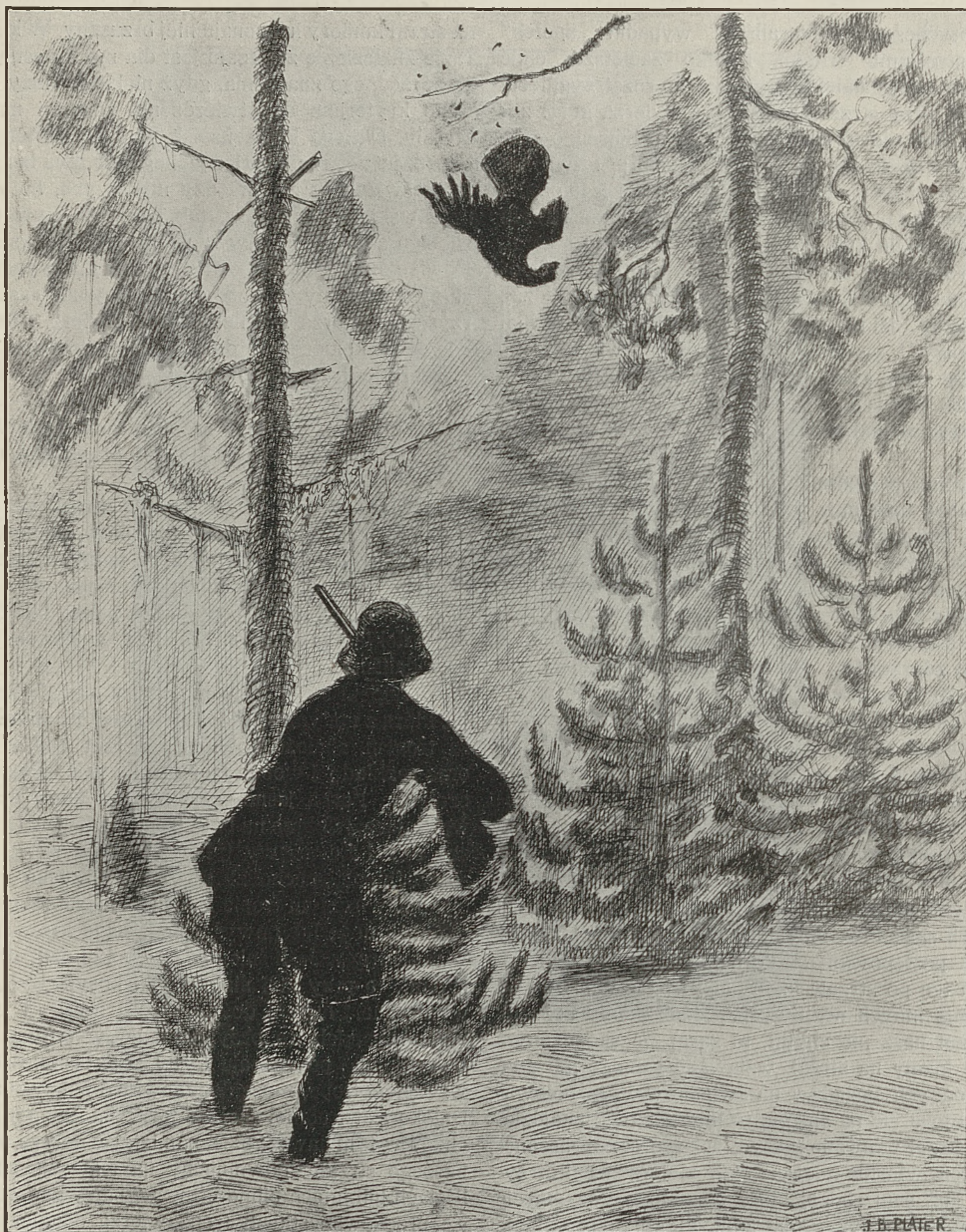
ERRATA.

W artykule „Ciekawe wykopalisko“, po słowie „Grandidier“, winny iść następujące zdania:

„Epiornis należał do rzędu ptaków, zwanych „apterigeni“, pozbawionych możności lotu, wobec niedorozwiniętych skrzydeł, upierzenia rzadkiego, jedwabistego i bardzo krótkiego ogona. — W Tulear, ojczyźnie „Epiornisa“, znajdują się i mniejsze odmiany „apterigeni“, w rodzaju tych, które żyją w Nowej Zelandji, Tasmanji etc.

Pozostałe szczątki wykopaliskowe „Epiornisa“ wskazują, że ptak ten posiadał łapy grube, szerokie, pozbawione ostróg, a zakończone tylko trzema palcami, bez pazurów. „Epiornis“ nie był wcześniejszym tworem od rasy ludzkiej. Dowodzi tego fakt znajdywania w tych samych pokładach geologicznych szczątków jego i kości ludzkich.

Błędnie podano wymiary jaj. Winno być obwodu wszerz 75 cm. i obwodu wzdłuż 84 cm.



PRZERWANA PIEŚŃ.

SPORY MYŚLIWSKIE.

(Dokończenie).

Dotychczas rozbieraliśmy wypadki „spółek“ przy strzelaniu śrutem. Daleko zaciętsze, choć z drugiej strony daleko łatwiejsze do rozstrzygnięcia są spory przy strzelaniu grubego zwierza kulą: zaciętsze, boć nie to samo kłócić się o marnego szaraka, co o pięknego odyńca lub jelenia; łatwiejsze do rozwiązania — gdyż stokroć łatwiej jest ocenić pierwszeństwo strzału, a nawet tożsamość strzału przy strzelaniu kulą, aniżeli przy strzelaniu śrutem. W pierwszym z tych wypadków mamy do rozporządzenia liczne dane, jak np. zestrzał i jego rodzaj, kolor farby i jej rozmieszczenie na tropie, otwór kuli wchodowy i wychodowy, kierunek kuli w ciele, wreszcie sama kula, o ile została w ciele (przy pełnej kuli). Wszystko to są kryterja, które pozwalają nam orzec niemal zawsze do kogo strzał decydujący należy.

Ogólnie przyjętą zasadą jest, że pierwszy strzał śmiertelny kulą daje prawo do zabitej sztuki, a za strzały śmiertelne uważać należy: w mózg, w kręgi szyi, w krtań, lub w tętnice szyjowe, a również w kręgosłup, w płuca, w serce, wreszcie w brzuch, a także te kule, które zwierza zatrzymują na miejscu, jak np. strzaskanie zadu, strzaskanie dwu nóg (co się czasem zdarza) itp. Na zasadzie powyższej reguły powinniśmy załatwiać wszelkie spory przy strzałach kulowych. Dodam tylko, że na Litwie (przynajmniej przed wojną) przy polowaniach na niedźwiedzie, panował inny zwyczaj, gdyż tam zwykle przyznawano sztukę temu myśliwemu, który niedźwiedzia swym strzałem na miejscu zatrzymał, choćby zwierz przedtem otrzymał strzał śmiertelny na komorę lub w brzuch.

Jeżeli chcemy uniknąć niesłusznej konkurencji naszych sąsiadów, powinniśmy przyjąć następujący sposób postępowania. Skoro strzelimy do zwierza kulą, a ten po strzale idzie dalej i pada dopiero pod strzałami innych myśliwych i jeżeli mamy uczucie, że strzał nasz nie chybił, to zaraz po skończonym miocie idźmy na strzał, wziąwszy jednego lub dwu bezstronnych sąsiadów na świadków. Jeśli polowanie odbywa się na śniegu, to niewątpliwie znajdziemy zestrzał w formie turzycy lub pióra, popruszonego w tem właśnie miejscu gdzie zwierz strzał otrzymał. Już sam rodzaj pióra da nam nieraz pojęcie o skuteczności naszego strzału. Wogóle pióro długie jest niedobre, bo pochodzi albo z grzbietu, albo z brzucha, lub wreszcie z podgardla i z bakiembardów, przeciwnie — pióro krótkie i trochę kędzierzawe jest dla nas dobrą zapowiedzią, bo daje nadzieję na strzał komory lub conajmniej brzuszny. W każdym razie znalezienie zestrzału jest dla nas kwestją pierwszorzędnego znaczenia, gdyż niekiedy służy za jedyne kryterjum do stwierdzenia celności naszego strzału. Dlatego kładę nacisk, aby do stwierdzenia obecności zestrzału wziąć jednego lub dwu bezstronnych świadków z pomiędzy myśliwych, bo kredyt myśliwski jest, niestety, tak lichy, że świadectwo samego strzelającego w tych razach nie wystarcza. Powiadam zaś, że zestrzał w niektórych wypadkach służy za jedyny dowód, świadczący na naszą korzyść, bo zdarza się niekiedy, że zwierz, strzelony nawet na komorę, nie daje farby na znacznej przestrzeni; jeśli zatem w takim wypadku sąsiad mój strzela do tego samego boku, a nie daj Boże — podobnemi kulami, to jedynie na podstawie stwierdzonego zestrzału mogę pretendować o przyznanie mi danej sztuki.

Zdarza się też często, że strzelając do jednej z pierwszych sztuk w stadzie dzików, niełatwo zestrzał znajdziemy, gdyż następne sztuki w śniegu go zadepczą. Pilnie jednak szukając, znajdziemy i w takim nawet wypadku pojedyńcze pióra, bylebyśmy tylko dokładnie pamiętali miejsce, w którem strzał nasz daliśmy.

Drugiem świadectwem celności strzału jest farba, którą z małymi bardzo wyjątkami, po strzale idąc za tropem, znaleźć powinniśmy. Sam rodzaj farby oraz rozkład jej wobec tropu są zwykle bardzo pouczające. Farba jasno-czerwona, w kolor ceglasty wpadająca, i dobrze na boki tropu wytryśnięta, oznacza strzał komorowy (płuca). Farba jasna, jakby rozwodniona, pochodzi zwykle z brzucha. Farba ciemna, w samym tropie leżąca, oznacza zwykle postrzał w nogę lub powyżej nogi, skąd krew spływa w same tropy. Jeśli śnieg jest głęboki i dzik idzie korytem, to przy kuli nizkiej boki koryta będą farbą wymazane. Słowem, doświadczony myśliwy jeśli nie we wszystkich, to przypnajmniej w bardzo wielu wypadkach po rodzaju farby i jej rozmieszczeniu względem tropu, może decydować o położeniu rany. Daleko jest trudniej znaleźć farbę na czarnej stopie, choć i w tym nawet razie, pamiętając dobrze miejsce naszego strzału, powinniśmy na trawach, suchych liściach lub igłach pilnie farby wypatrywać, starając się przedewszystkiem trop zwierza odnaleźć. Jeśli szukamy farby wśród gęstych traw, to dobrze jest chustką po nich raz koło razu przeciągnąć, a na niej farbę łatwo spostrzeżemy, jeśli tylko takowa na trawach się znajduje. W każdym razie nie powinniśmy

szczędzić zachodu, gdyż, jak to mówię, w wielu wypadkach znalezienie farby może jedynie decydować o przyznaniu temu lub owemu myśliwemu zabitej sztuki.

Ważnym też czynnikiem w takich razach jest zachowanie się samego zwierza w chwili strzału. Utartem wśród myśliwych wyrażeniem jest, że zwierzyna postrzelona „daje znak“, co oznacza pewien ruch nerwowy, który wprawne oko myśliwego odróżnić powinno od zwykłego rzucenia się zwierza pod wpływem huku strzału. Zwierz strzelony na komorę, zwykle „daje szczupaka“, to jest wybija się wszystkiemi czterema nogami w górę, jakby miał idealną jakąś przeszkodę przesadzić. Jeleń, lub rogacz, strzelony w brzuch, zwalnia zwykle biegu, podbiera tylne nogi pod siebie i garbi się.



Na terenach Poleskiego Tow. Myśl. polując w 2 strzelby p.p. Jerzy Koszarski i Maurycy hr. Potocki zabili w ciągu 2 dni: 3 rysie (w jednym miocie) zabite przez p. Jerzego Koszarskiego, 4 dziki, w tem odyniec stary (wagi 4 p. 30 f. tylko) cięty kilkakrotnie szablami innych dzików, zabity przez hr. Maurycego Potockiego. Fot. dzika podamy w nast. numerze.

W tem miejscu zaznaczyć muszę, że wywrócenie się zwierza w strzale niekoniecznie decyduje o śmiertelności postrzału, gdyż w licznych bardzo wypadkach strzelona sztuka wywraca się na miejscu, lecz po pewnym czasie podnosi się i wędruje dalej; i powiem nawet, że w takich razach najczęściej

przepada, jeśli jej kto inny nie zabije. Zwykle jest to głęboka obcierka po krzyżach, która zwierza tylko chwilowo paraliżuje i na miejscu zatrzymuje. Sztuka po pewnym czasie, przyszedłszy do siebie, wstaje i nawet z takiej rany łatwo wylizać się może. Na dowód tego mógłbym liczne przytoczyć wypadki, lecz sądzę, że większość słuchaczy moich we własnej praktyce znajdzie potwierdzenie tego, co przed chwilą powiedziałem. Nie mogę jednak powstrzymać się od zacytowania jednego wypadku, jaki mi się przed laty we Francji przytrafił. Polując z gończymi, strzeliłem do łani, która mi w ogniu zkoziołkowała. Podszedłem do tłukącego się na ziemi zwierza i spostrzegłem nad prawą łopatką ranę, z której farba obficie broczyła. W przypuszczeniu, że zwierz tłucze się w agonji, otworzyłem sztucer, aby wyjąć pustą gilzę i nabić wystrzeloną lufę nanowo, gdy w tej chwili łania się zerwała i w jednej chwili zniknęła mi w gąszczu. Goniliśmy ją psami do samego zmierzchu, dwa razy jeszcze do niej strzelano i tyleśmy ją widzieli. Wypadek ten przytaczam dla nauki tych myśliwych, dla których najwyższym argumentem jest, że im się sztuka w ogniu wywróciła.

Dotychczas rozpatrzyłem jako kryterja przy decydowaniu w sporach myśliwskich „zestrzał" (anschuss), farbę i zachowanie się zwierza. Teraz pozostaje mi jeszcze czwarty czynnik, jakim jest oznaczenie, czy kula weszła z prawego boku, a wyszła lewym, czy przeciwnie, to jest poprostu kwestja tak zwanej „wchodowej" lub „wychodowej" kuli. Dwu myśliwych strzela współcześnie, lub niewspółcześnie do jednej sztuki; jeden z nich strzelił do lewego, drugi do prawego boku. Na zabitej sztuce znaleziono ranę i z tej i z tej strony. Zachodzi więc pytanie (o ile zestrzał, farba, lub kaliber broni tego nie zdecydowały), czy obaj trafili, a jeżeli nie, to który mianowicie z nich: czy ten, co strzelał do prawego, czy ten, co do lewego boku?

Jest to zwykle kwestja bardzo trudna do rozstrzygnięcia i dlatego powinniśmy się w takich wątpliwych wypadkach zdawać na sąd tylko osób bardzo doświadczonych i mających za sobą wielką praktykę. Opis jednak typowej kuli wchodowej i wychodowej może się tu niejednemu przydać. Zwykle rana od kuli wchodowej posiada kaliber kuli, lub jest nieco odeń mniejszą; brzegi jej są równe, jakby cyrklem zakreślone, a nadto turzyca lub szczecina na przestrzeni paru milimetrów od brzegów — obcięta, jakby wygolona (ona to daje właśnie zestrzał). Przeciwnie, rana od kuli wychodowej jest zwykle większą od kalibru broni, w wielu nawet wypadkach — olbrzymią, brzegi jej są poszarpane, a turzyca lub szczecina widoczną po same brzegi. Nadto w bardzo licznych wypadkach kula, wychodząc z rany, wyciąga za sobą rozszarpane kawałki płuc lub flaków, choć nadmienię, że niekiedy poszarpane kawałki tych organów wychodzą przez otwór wchodowy. W każdym razie decyzję w tej materji — powtarzam — zostawić tylko bardzo doświadczonym myśliwym, i nawet radziłbym brać dwu, a nawet trzech arbitrów, gdyż wiem z doświadczenia własnego, że orzeczenie jednego eksperta bywa czasami wysoce niesprawiedliwe.

Ostateczną drogą do wyświetlenia prawdy przy strzelaniu kulami jest sekcja zabitego zwierza. Zdjąwszy skórę i rozćwiartowawszy sztukę, możemy łatwo zbadać kierunek kuli i rozstrzygnąć, czy przebiła ona żywotne części, czy nie? W wielu wypadkach znalezienie samej kuli i oznaczenie, do kogo ona należy, decyduje dokładnie o przyznaniu jednemu lub drugiemu myśliwemu zabitej sztuki.

Uprzytamniając sobie wszystko, co dotychczas powiedziałem o strzałach kulowych, przyjdziemy do wniosku, że spółka w ścisłem znaczeniu tego wyrazu zdarza się jedynie w tym wypadku, gdy dwu myśliwych strzela współcześnie i obaj trafiają zwierza śmiertelnie. W takim wypadku albo poddać kwestjonowaną sztukę losowaniu, albo liczyć ją sobie jako spółkową, gdyby jedna ze stron nie chciała zgodzić się na taki sposób rozstrzygnięcie sporu. Tak samo należy postępować w tych wszystkich wątpliwych wypadkach, gdzie tożsamość strzału nie została dostatecznie stwierdzoną drogami, powyżej wymienionemi.

A kończąc tę moją pogawędkę, raz jeszcze powiem: we wszelkich sporach kierujmy się bezstronnością i umiarkowaniem, gdyż więcej jest warta dobra harmonja na polowaniu, aniżeli zabita kuropatwa, zabity szarak, a nawet dzik lub jeleń.

Jan Sztolcman.





NA WILKI.

Krótki telefonogram z Wilna: „Wilki obłożone sznurami w puszczy Rudnickiej. Polowanie 5 b. m.“ Krótka narada i wyjazd wieczorny.

Jaszuny... Wieść radosna: wilki nie wyszły z pod sznurów. Po myśliwskiem śniadaniu w Wieczoryszkach — wyjazd do kniei.

Pogoda słoneczna — w zimnem powietrzu czuć pierwsze, nieśmiałe jeszcze pieszczoty nadchodzącej wiosny.

Wysiadamy z sań i dążymy piechotą na miejsce łowów.

Czerwone pasmo sznurów. Krwawe chorągiewki otaczają upragniony ostęp wilczy... Leśną, śnieżną dróżką, zapadając się po kolana, zdążamy na stanowiska... Numer czwarty—staje p. Marszałek Rataj... Numer piąty — moja kolejka... Serce bije mi młotem ze wzruszenia. Staję za olbrzymim wywrotem — porośniętym mchem i paprocią.

Otacza mię święta cisza dziewiczej puszczy. Jeno w szczytach drzew czasem budzą się nieśmiałe szumy — poszumy. Jeno czasem szyszka spadnie, dzięcioł zapuka, lub ptaszek jakiś zaszczebioce w gęstwinie.

Puszcza stoi niema. Potworne wywroty, podobne do czarnych smoków, wznoszą ku górze wydarte ziemi ramiona... Szkielety dawno umarłych drzew lśnią w słońcu trupią białością żeber, szczerzą kły rosochatych sęków...

W ciszy leśnej rozbrzmiewa daleka trąbka... Polowanie rozpoczęte. Czas jednak płynie — strzałów nie słychać — zwątpienie napełnia serca myśliwych. Czyżby drapieżniki wymknęły się nocą z obieży? Zaczynam się tego obawiać. Gdy wtem...

Na lewo strzał. Wpijam wzrok w puszczę. I nagle spostrzegam olbrzymie wilczysko, sadzące w susach, o jakie 60 kroków, przed wywrotem który mię osłania.

Strzał trudny. Las wysokopienny przesłania chyży bieg zwierza. Usiłuję schwycić wilka na muszkę — niemożebne. Strzelam z przyrzutu. Chwila, w której cała dusza zawisa na końcu luf...

Wilk ruluje w ogniu — jak zając. Że zaś tłucze się jeszcze na ziemi — posyłam mu drugi strzał, po którym... zrywa się i — pada bez życia...

Nabijam broń. Nie spodziewam się jednak po dwu strzałach, aby coś jeszcze na mnie wyszło.

Las umilkł. Niebotyczne świerki, wyrwane z ziemi, leżą spiętrzone, jak po bitwie olbrzymów... Jaskrawy mech pokrywa ich gałęzie nieżywe... Ich pnie zmurszałe przesłaniają zazdrośnie głębię puszczy...

Lecz oto śród tych pni coś płowego miga. Czyżby to było złudzenie? Widzę ze zdumieniem sadzącego ku mnie galopem — drugiego wilka. Zbliża się na sztych. Jest już na kroków 50. Wysuwam broń zza wywrotu. W tej chwili wilk błyskawicznie robi zwrot w prawo. Strzelam z przyrzutu. Niknie mi za grubym pniem, poczem... zza pniaka wywala się zad rulującego zwierza... Leży! Wiedząc o żywotności bestji, posyłam jej drugi ładunek, po którym uspokaja się ostatecznie...

Na prawo, na linji myśliwych, słychać jeszcze pięć strzałów... Powoli zbliża się naganka, zwiastowana wrzaskiem sójek. Chłopi, ujrzawszy zabite wilki, poczynają im złorzeczyć za wszystkie pomordowane owce i świnie...

Oglądam ubite zwierzęta. Pierwszy z nich, to stary, czarnoszary basior, drugi — płowa wadera. Oba wilki dostały pierwszy strzał na komorę. Strzelałem grubym śrutem pięć zer.

Myśliwi schodzą ze stanowisk. Okazuje się, że p. poseł Gościcki zabił wilka, a p. Łastowski — lisa.

Podziękowanie należy się Dyrekcji L. P. w Wilnie, oraz p. Nadleśniczemu, Zwolanowskiemu, i p. łowczemu Puhaczewskiemu, za świetną organizację polowania.

Stoimy na skraju lasu, na śnieżnej polanie, szczęśliwi i radośni... Czekamy na przyjazd sań... Opo-

wiadamy sobie o świeżych przeżyciach, które stają się już w ustach naszych wspomnieniem...

A oto z polany, śniegiem jeszcze pokrytej, wzbija się ku błękitom z pieśnią natchnioną skowronek — zwiastun przedwiośnia... I po radości zimowej, która przeszła, śpiewa nam o radościach wiosennych, leśnych i polnych, które przyjdą...

Puszcza Rudnicka 6/III. 26. *Juljan Ejsmond.*

Z dawnych wspomnień.

Dawne i minione bezpowrotnie czasy — działo się bowiem w 1879 r., a jednak tak żywo staje przed oczami i tak się wraziło w pamięć, jakby się polowało kilka dni temu, chociaż prawie pół wieku upłynęło od tego czasu. Zima była dość śnieżna i mroźna. W styczniu zostałem zaproszony z p. mecenasem Michałem Siemiradzkim i jego bratankiem p. Józefem Siemiradzkim, wtedy studentem jeszcze uniwersytetu Dorpackiego, przez p. Bolesława Zglinickiego, naszego dobrego znajomego, właściciela Dębego nad Narwią, na polowanie. Wieczorem, wysłanemi po nas końmi do stacji kolejowej Nowy Dwór, stanęliśmy w gościnnych progach domu p. Zglinickiego. Na drugi dzień rano przyjechali p. Grodzicki, nadleśniczy rządowych lasów pod Modlinem i podleśny p. Nowicki. Polowanie rozpoczęliśmy w wąwozach na wysokich brzegach Narwi, ze spadkiem do rzeki zarośniętym krzakami. Następnie opolowaliśmy las. należący do Dębego i las zaścianka „Popowo". Zabito coś kilkanaście zajęcy, lisa i w ostatnim zakładzie zastano dużego pojedynka, który bez strzału umknął do rządowych lasów, będących pod zarządem pp. Grodzickiego i Nowickiego. Po powrocie do domu, postanowiono na radzie wojennej otropić go nazajutrz i z nim się rozprawić. Podjęli się to zarządzić pp. Grodzicki i Nowicki, którzy po wesołej uczcie myśliwskiej pojechali na noc do domu w Nadleśnictwie.

Przed odjazdem tych panów na radzie myśliwskiej postanowiono, że zbiór myśliwych rano ma być w rządowym lesie w smolarni. P. Michał Siemiradzki, mając jakieś ważne sprawy, musiał z wielkim żalem odjechać do Warszawy, pozostałem tylko ja, wasz sługa, niżej podpisany, i p. Józef Siemiradzki. Raniutko wyruszyliśmy z p. Zglinickim na zborny punkt do smolarni, gdzie już zastaliśmy pp. Grodzickiego i Nowickiego z dobrą wieścią, że odyńca otropiono. Porządek ataku uplanowano taki: w pierwszej linji, żeby lepiej otropić, wyruszyli pp. Grodzicki, Nowicki i Zglinicki z gajowymi, z których jeden,

Ostatnie rykowisko i bajkowe jelenie.

(Dokończenie).

Pewnego dnia pod wieczór wyruszyłem z leśnikiem na podchodnego. Słońce skryło się już za wierzchołki lasu, czerwone zorze zwiastowały na dzień jutrzejszy niepożądany wicher. Stoję na trakcie leśnym pod gęstym zagajnikiem i zabieram się do odwrotu, gdy nagle wypada obok mnie z prawej strony przestraszona sarna, z lewej strony druga. Myśmy ich spłoszyć nie mogli, zachowywaliśmy się przecież bardzo cicho, wiatr był korzystny. Powód ich spłoszenia musiał być inny. Domyśliłem się, że zwierz gruby ciągnie, który sarny spłoszył; okazało się, że przypuszczenie moje było słuszne, gdyż po paru sekundach wyszło na trakt kilka dzików na odległość 80 kroków. Przez jasną moją lunetę mogłem dokładnie rozpoznać kontury dziczka, który też w następnej sekundzie zamarkował strzał na komorę. Drugiego dnia znalazłem go z doskonałym strzałem o jakie 150 kroków od miejsca postrzału. Dziwiła mnie tylko żywotność tego dziczka, który przestrzelony na wylot i z rozdartemi płucami, jeszcze miał tyle sił, by pójść tak daleko. Niepogoda i wichury nie pozwoliły nam opuścić przez pewien czas naszego pałacu myśliwskiego. Nie jest to coprawda pałac w całem znaczeniu tego słowa, lecz czujemy się tam pewnie nieraz szczęśliwiej, aniżeli niejeden magnat w swym zamku w dzisiejszych czasach. Zapomina się tam, chociaż w gronie swych przyjaciół miłych i drużyny z pod sztandaru św. Huberta, o troskach i kłopotach życiowych. Nie jedna butelka przepalanki tam wyschnie, zaś po przechadzce kilkunastokilometrowej ginie w oczach cały łokieć kiełbasy myśliwskiej. Skrawki słoniny przypala się na patyku, chleb razowy ma wielkie powodzenie, jednem słowem — uczta.

Nastały ładne dni, niebo się wyjaśniło, otucha wstąpiła w serca nasze, zmęczenie minęło, był to dzień 26-ty wrzesień. Szron pokrył su-

Turczyński, z doskonałym pieskiem na dziki, wabiącym się „Lorwas“. Ja zaś z p. Józefem Siemiradzkim, z parą koni, założonych do sanek, zostaliśmy w smolarni z tem, żeby na pierwszy sygnał natychmiast zdążać do kniei. Czekaliśmy krótko, ale zdawało się, że czekamy całe wieki. Nakoniec usłyszeliśmy strzał, ujadanie psa i otrzymujemy rozkaz: siadać na sanie i co koń wyskoczy podążać na głos psa. Ruszyliśmy — para dzielnych koników poniosła nas z kopyta w głąb kniei, w kierunku głosu, goniącego psa.

Rozpacz — widzimy odyńca o jakieś sto kroków, przemykającego przez leśną drogę, ale na szczęście wziął kierunek po wzgórzu, równolegle do drugiej drogi, po której jedziemy, zatrzymując się od czasu do czasu i odwracając się do psa, który go zawzięcie atakuje. Pędzimy ile tchu mają konie, żeby przeciąć mu drogę. Nareszcie wyprzedzamy i stajemy na stanowiskach. Pierwszy stanąłem ja, następnie o kroków czterdzieści p. Józef Siemiradzki, a dalej widzimy sylwetkę gajowego Turczyńskiego. Odyniec idzie prosto na mnie i p. Siemiradzkiego. Stoję pod sosną. Przedemną zatrzymuje się odyniec o 15 kroków. Prawidłem jest nie strzelać do odyńca na sztych, a tembardziej do rozjuszonego, więc czekałem kilka sekund tej chwili, aż się obróci bokiem. Tymczasem rozjuszony, z pianą, toczącą się z paszczy, kłapiąc zębami, zoczył mnie i jak piorun skoczył do mnie, robiąc sus, wielkości siedmiu kroków. Zrobiło mi się gorąco — błyskawicznie jednak przeleciała myśl: mierzyć dobrze, bo będzie źle. Momentalnie odzyskałem zimną krew, strzelba prawie wrosła w ramię i z odległości ośmiu kroków pociągnąłem za cyngiel — huknął strzał — odyniec padł na przednie nogi — struga krwi buchnęła mu z paszczy — zerwał się jednak jeszcze i dopiero o parę kroków legł u nóg moich po drugim strzale. Prawdopodobnie drugi strzał niepotrzebny, ale trudno było nie strzelać wobec tego, że dzik znalazł się o parę kroków. Strzelałem z odtylcowej cylindrycznej broni, firmy „Bekera“—kulę wpakowałem bestji w sam łeb, a z lewej lufy dokończyłem loftkami. P. Józef Siemiradzki miał tego odyńca o trzydzieści kroków do boku, ale młody i niedoświadczony myśliwy, widząc szarżę jego na mnie, nie zdecydował się na strzał — może to wyszło na dobre, bo dało mi spokojnie wziąć dobrze na cel nieprzyjaciela.

Zaraz po tym pogromie tej groźnej bestji, zbiegli się do mnie myśliwi z kapitanem załogi modlińskiej, księciem Buczackim, tatarem, o którym zapomniałem wspomnieć, winszując mi sukcesu. P. Józef Siemiradzki zaś wobec nich oświadczył, iż całe życie nie zapomni tej szarży rozjuszonego pojedynka i moich celnych strzałów. Po powrocie do Warszawy, pod wpływem świeżego wrażenia, zrobił nawet akwarelę, wyobrażającą tę scenę, ale na nieszczęście podpisał „Siemiradzki“, co zachęciło jakiegoś niemca, czy moskala, do zrabowania tej dla mnie miłej pamiątki.

Tacy to byli ludzie i takie łowy,
A teraz spoczynku trzeba dla naszej głowy.

1926 r. 31 stycznia. *Edward Orda.*

---

che trawy, gwiazdy się skrzyły, termometr pokazywał niżej zera. Dzień to idealny podczas rykowiska. O 3 rano wychodzę z towarzyszem moim z pałacu i słyszę w stronie zachodniej ryk potężnego jelenia. Gdzieś dalej odzywały się jeszcze jakieś inne, lecz wedle przypuszczeń — poza granicą przeznaczonego mi przez gospodarza łowiska.

Bez namysłu udajemy się w stronę ryczącego jelenia, lecz z powodu niekorzystnego wiatru, musieliśmy pójść jakie 6 kilometrów dalej. Gdyśmy doszli, już zaczęło świtać; rogacz ze swym haremem opuścił już mniemany zręb, widocznie pociągnął ku gąszczom. Bezzwłocznie udaliśmy się więc w tym kierunku, lecz grobowa cisza zalegała okolicę. Staliśmy na linji obok przerzedzonego drzewostanu, aż tu nagle na jakie 120 kroków od nas pędzi jeleń dziesiątak, za nim kapitalny dwunastak. Stało to się tak nagle, że nie zdążyłem lunety zrzucić ze sztucera i zmuszony byłem strzelić przez lunetę. Strzał to niepewny, który nadto wymaga kolosalnej wprawy, kiedyż bowiem strzela się w biegu przez lunetę? Pierwszą kulę zamarkował jeleń krótko, drugą zupełnie słabo. Po dokładnem zbadaniu miejsca postrzału okazało się, że jeleń ma kulę nisko w łopatce, czyli obadwa biegi wysoko złamane. Strzał więc był fatalny, taki, który myśliwego kosztuje nieraz wiele przykrych i ciężkich chwil. Na domiar złego szron i rosa zginęły, utrudniając niesłychanie tropienie. Obciąwszy oddział starodrzewia z podszyciem dość gęstym, zdawało nam się, że jeleń ranny z niego wyszedł. Postanowiłem czekać jakie 2 godziny i potem zabrać się do szukania. Na krzyżówce stojąc widzimy nagle jelenia w odległości kilometra: ciągnie on zaledwie krokiem przez linję w drągowinę. Poznaliśmy go natychmiast, czasu więc tracić nie było można, każda sekunda była droga. Biegiem dopędzam do miejsca, gdzie jeleń przeszedł, badam przez lornetkę kierunek, w którym mi zginął, aż spostrzegam go na jakie 180 kroków. Wiedząc, że ciężko ranny, a do gąszczy niedaleko, obszedłem go od strony gąszczu i strzeliłem na jakie 130 kroków. Jeleń kulę zaznaczył, dostał ją za łopatkę. Pomimo to, ciągnie wolno dalej, dostaje drugą kulę na łopatkę, również ciężko ją zaznaczając i uszedłszy około 160 kroków, pada. Praw-

ŁOWY KAUKASKIE.

Przestrzenie między morzami Czarnem, a Kaspijskiem dzielą się największem w Europie pasmem gór zwanych Kaukaskiemi, na dwie części: północną — właściwy Kaukaz i południową — Zakaukazie. Olbrzymie te góry ciągną się bez przerwy na przestrzeni 800 kilometrów i na zachodzie stromo opadają w Czarne morze, wysyłając do niego łącznik, w postaci dużej górskiej rzeki Ingur. Piękna ta rzeka mknie z szaloną szybkością w głębokim wąwozie, zrywając swoją potężną siłą wszelkie przeszkody; bardzo często na długie kilometry, dostęp do rzeki jest niemożliwy, a komunikacji między brzegami niema żadnej.

Mało kto z szerokiej publiczności zna chociażby nazwę takich rzek Zakaukazia jak Ingur, Samur, nawet Kurę, a przecież, jeżeli liczyć po ilości przepływającej rocznie wody, to te rzeki nie ustępują Wołdze lub Dnieprowi, a Kura w swoim dolnym biegu, przy głębokości 10—20 metrów, ma szerokość 2—3 kilometrów. Zachodnią część Kaukaskich gór zamieszkują Abchazcy, a kraj ten zowie się Abchazją. Wschodnia część gór stopniowo zniża się do Kaspijskiego morza, gdzie tworzy szeroki żyzny pas ziemi, przerżnięty dużą ilością górskich rzeczułek. Wschodnią część gór i przykaspijski żyzny pas zamieszkują tatarzy. Pomiędzy Abchazcami a tatarami góry zamieszkują różne plemiona: Swanny, Adżarcy i inni zaliczają siebie do szczepu gruzińskiego; Lezgini, Ingusze, Kabardyńcy — do szczepu tatarskiego.

Lecz bardzo jest dużo drobnych narodów, a właściwie—rodów, które same nie mogą określić swego pochodzenia. W rzeczywistości są to potomkowie osiadłych tu rycerzy-krzyżowców, na co są niezbite dowody. Mowa ich to zbiór słów z całej Europy i Azji; naprzykład Osetyni mają w swojej mowie d. 25 proc. słów niemieckich; najwięcej rycerskich tradycyj zachowały ludy, pochodzące z rycerzy zachodniej Europy. Są tam i nasi rodacy, lecz zamieszkują oni na głównym pasmie gór, a na tak zwanym Kaukazie, w północnej części gub. Kutaiskiej wzdłuż rzeki Lachwy.

Takiej mieszaniny narodów, jak w górach Kaukaskich, niema na całym globie ziemi. Są takie fenomeny, jak naród mieszkający w dwóch niedużych wioskach, lecz naród o odrębnych zwyczajach, o zupełnie obcej mowie; naród posiadający całe legendy o swojej olbrzymiej przeszłości, naród pogardzający połączeniami z sąsiadami. Najlepiej uwydatnia ten zbiór narodowości bardzo rzadkie dzieło barona Urslaca, znanego lingwisty i badacza kaukaskich górali. Pisze on, że spędziwszy całe swoje długie życie

---

dą więc jest, że ciężko raniony gruby zwierz jest nie do zabicia. Wieńce miał bardzo silne i grube, ładnie uperlone, piękną grubą koronę, lecz może za krótkie odnogi w porównaniu do całości.

Parę dni siedziałem w pałacu, ograniczyłem się do krótkich wycieczek, tropiłem, słuchałem, chodziłem za dzikami, lub jeleniem z anormalnemi wieńcami. Nie miałem powodzenia, słoty też znów nastały, mało jeleni się odzywało.

Towarzysze moi niemieli wogóle powodzenia. Możliwem, że za wiele przebierali w jakości; w każdym razie nie jeden stracił chęć i zaufanie do łowiska, wyczerpawszy siły fizyczne.

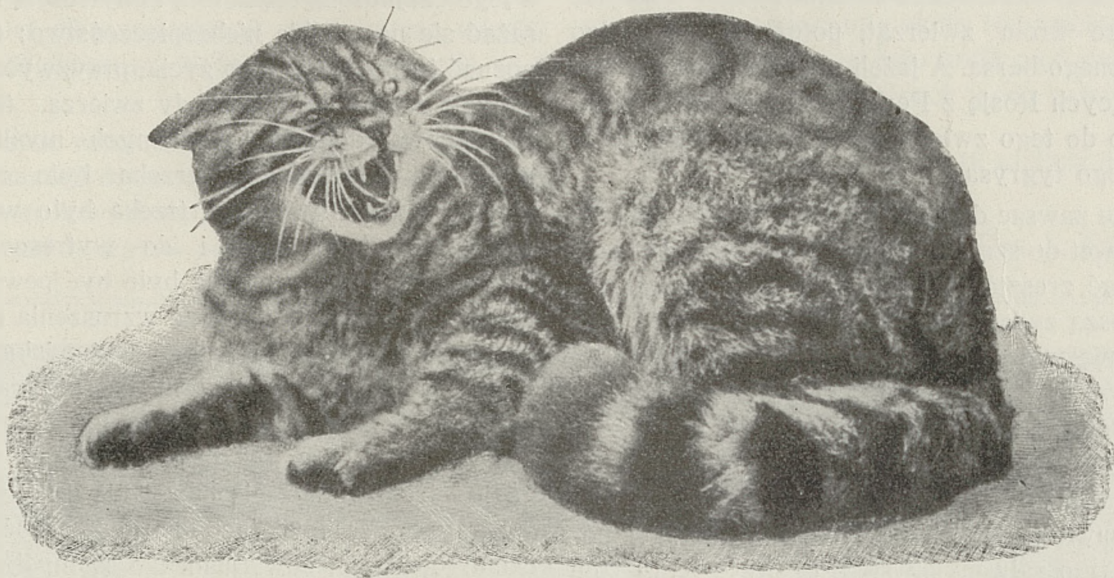
Po paru dniach dostałem pozwolenie od gospodarza zapolować w sąsiednim łowisku. Życzył mi widocznie szczerze jeszcze jednego jelenia i też kochająż drugiego dnia rano to było. Wyszedłem sam do lasu i spotkałem wpierw pojedyńczego dziesiątaka z bardzo pięknemi wieńcami, lecz całość jego wskazywała, że to jeleń młody, jeleń przyszłości. Za jakie 3 lata będzie mu się można jeszcze bliżej przypatrzeć. Krótko po tem spotkałem stado jeleni, czy łań, przy których stał dobry dwunastak, lecz nie mogłem go podejść na strzał.

Była już godzina 8-a rano, obchodzę jeszcze jeden gąszcz z myślą zwrócenia się ku domowi. Idąc wzdłuż gąszczy tropię stado dzików, które krótko przedtem widocznie bawiły się na drodze. Żałowałem, że prędzej tu nie przyszedłem, byłbym choć z dzikiem pogadał, gdy w tem zaroiło się przedemną na jakie 60 kroków i stado dzików pojawiło się na drodze. Na taką niespodziankę nie byłem przysposobiony, inaczej nie byłbym miał sztucera na ramieniu. Dziki zaś zauważyły ruch składania się. Z trzaskiem, hukiem i sapaniem zdążyły do gąszczu i przepadły. Jeden z nich był jakoś ciekawszej natury, wrócił się, wytknął łeb z gąszczy na jakie 50 kroków i spoglądał ciekawie ku mnie. Uderzony kulą w kark, skwitował ją w miejscu. Ucieszony tą zdobyczą, spieszę ku głównemu traktowi, aby się spotkać na czas z gospodarzem na umówionem miejscu. Widzę go też na jakie 1 i pół kl. idącego ku mnie. Mijam gąszcz z prawej strony i wychylam bardzo ostrożnie głowę wzdłuż jego ściany pod prostym kątem do mnie. Nie

między nimi, zbadał i opisał 47 obcych sobie narzeczy, lecz zupełnie swej pracy nie skończył.

Opisuję powierzchownie te góry, bo są one, a zwłaszcza południowa część ich wschodniej połowy, takim rajem dla myśliwego, o jakim mało i bardzo mało kto z myśliwych może marzyć. Znam dobrze myśliwską literaturę polską i rosyjską, i przyszedłem do przekonania, że tak obfitego i różnorodnego zwierzostanu, jaki posiadają Kaukaskie góry, niema w Europie, a może i w Azji, bo nawet okrzyczana Syberyjska Tajga, gdzie też byłem, w porównaniu z Kaukazem, pod tym względem, jest niczem.

Bo gdzież znajdzie się taki kraj, aby siedząc na linji strzelców, tam na końcu lasów i na pograniczu z pasem traw i słuchając psów naganiaczy, myśliwy oczekiwał i tchórzliwego szakala, i mądrego wilka, i zwyczajnego, lub czarno-burego lisa, i zwykłej kozy, i potężnego wysokonogiego górskiego odyńca,



ŻBIK.

dowierzam swoim oczom. Wprost ku mnie pomiędzy ścianą gąszczu, a starodrzewiem ciągnie zupełnie spokojnie olbrzymi jeleń. Nie spłoszył go strzał do dzika, od którego przeszło zaledwie 10 minut. Rzuciłem papierosa, zdjąłem lunetę i czekam. Czekam dłuższy czas dobrze ukryty, lecz jelenia nie widać. Naraz łamie się w gąszczu obok mnie i na jakie 40 kroków klinem przed starodrzew wypada na mnie stado łań w największym popłochu. Za niemi słaby dwunastak, a obok kapitalny jeleń z olbrzymiemi wieńcami ryczy z całej krtani i uderza go w moich oczach kilkakrotnie w bok. Czekam spokojnie, aż jeden drugiego wyprzedzi, gdyż w tej pozycji byłbym mógł obadwa jelenie kulą strzelić. Słabszy jeleń dał dęba naprzód, ów olbrzym został parę kroków wstecz, dostał kulę na kark przed łopatką rulując kilkakrotnie, jak zając dobrze strzelony w łeb.

Nie będę tu dalej opisywał tego jelenia i spotkania się przy nim z moim kochanym gospodarzem...

Każde łowisko ma swoje specjalności, specjalnie zaś łowisko z grubą zwierzyną. Znam np. łowiska na jelenie z bardzo dobrem rykowiskiem, tam każdy starszy jeleń od lat już znany ma swoje nazwisko czyli przezwisko. W pewnym łowisku, w którym poluję, znam kilka takich nazw. Jest sławny „Caruso", odznaczający się grubym głosem, który prawdziwe koncerty daje, nieraz nawet już strzelany i — chybiany! Żyje, i corocznie rozbrzmiewa jego pieśń miłosna na tę samą nutę, lecz i z roku na rok rośnie w wieńce i doświadczenie. Nie jedną parę podeszew zdarto za nim, niejedną noc nie przespano, krople potu ocierano z czoła, ze zmartwienia nie jeden kieliszek więcej wypito. Caruso żyje jeszcze, cieszy się sławą, może zginie kiedyś za starości, jeśli nie napotka na starego wygę — myśliwego, który się nie zlęknie jego siwego łba i olbrzymich wieńcy.

Żyje tam i drugi jeleń „Stary dziadek". Z miejsca ryczy cały dzień, noce na polanie najbliższej, w dzień tuż obok w niedostępnym gąszczu. Potężnym głosem odstrasza on swoich rywali, którzy się zdala trzymają; jest za wygodny, podobno i kulawy, aby ze swym haremem składał dalsze wizyty sąsiadom. Zdarzyło się razu pewnego, że poszedł na dalszą wycieczkę, zapomniał w swym szale miłosnym,

i górskiego jelenia, i kozicy, czyli gwizdacza z rogami djabła, i kamiennego barana, i górskiego kozła, trzęsącego dużą brodą, z rogami leżącemi wzdłuż grzbietu aż do ogona, i kilku gatunków niedźwiedzi, i wstrętnej, brudnej hijeny, i zgrabnego, ze zdradziecko sterczącemi uszami rysia i nakoniec miejscowego króla zwierząt, potężnego i bardzo niebezpiecznego barsa. A jeżeli polujesz na pasie gór rozdzielających Rosję z Persją, w powiecie Lenkorańskim, to do tego zwierzostanu trzeba dodać jeszcze perskiego tygrysa.

W ręku zawsze dryling i zawsze kule żakana, bo strzelać nawet do szakala nie kulą, to wstyd. Do szakala strzelać zresztą nie należy, bo huk strzału odpędza grubszą zwierzynę, zaś psy, czując krew szakala, przyzwyczajają się do jego gonu, pomijając lepszą zwierzynę, co przy olbrzymiej ilości szakali, byłoby zupełnem zmarnowaniem dobrego polowania.

Cudne wspomnienia nasuwa mi pamięć; tyle różnych epizodów, przeżyć, dużych i małych powodzeń przesuwa się przed oczyma. Tak, 32 lata polowania w tym raju myśliwskim i prawie cały ten długi okres życia na stanowisku naczelnika wypraw i kierownika polowań, mając tę miłą pracę prawie zawsze jako wyjątkowe zajęcie służbowe, mając do dyspozycji do setki myśliwych — żołnierzy, mając kilkadziesiąt rasowych psów i odpowiednie środki lokomocji, i, co najważniejsze, — nieograniczone obszary leśne, górskie i nizinne, mogłem uważać wszystkie polowania królewskie w porównaniu z mojemi, za marne, dziecinne.

Nie był to zwierzyniec w rodzaju poznańskich polowań na bażanty, lub koty, lub carskich polowań w Białowieży; zwierzę trzeba było zdobyć, walczyć z jego czujnością, chyżością i chytrością i często narażać się na wielkie niebezpieczeństwo; trzeba było poznać jego naturę, tryb życia, przyzwyczajenia, doskonale zbadać teren i chody zwierza, trzeba było wypracować dobrych i odważnych myśliwych, pomocników i naganiaczy, trzeba było rozdmuchać w nich żyłkę myśliwską, trzeba było włożyć dużo pracy do wyhodowania i do wytresowania psów, a wtenczas dopiero można było być pewnym powodzenia i osiągnąć najwyższe wzruszenia myśliwskie. Ci ludzie co wyjeżdżają na stanowiska powozami, z dwoma flintami i gajowym dla spiesznego ich nabijania, co robią po kilkaset strzałów dziennie, co nietylko nie obejrzą zabitej zdobyczy i nie spojrzą, gdzie i jak trafiono, ale nawet nie spojrzą na zabitą zwierzynę, zostawiając tę przyjemność naganiaczom, ci ludzie, powiadam, nie są myśliwymi, a jeżeli uważają się za takowych, to mylą się, bo rzeczywisty myśliwy, myśliwy z powołania, z serca i duszy, nie będzie rzeźnikiem.

Chciałbym wiedzieć, czy odczuwa taki „myśliwy" różnicę w swoim stanie wewnętrznym, między strzałem do talerzyka i bażanta. Wątpię! Sam biłem dużo, może czasami i zadużo, lecz biłem to, co zdo-

---

że słońce już na niebie dość wysoko, i, nie wiem czy ów „stary dziadek" nie jest właśnie tym czternastakiem, którego powyżej opisałem. Jeżeli tak, to zakończył swe życie wojownicze z honorem na polu chwały.

Trzeci bajkowy jeleń jest „Stary kawaler". Ten już jest nieszkodliwy. Dźwiga on olbrzymi wieniec z niewielu końcami wstecznika. Odznacza się on nadzwyczajnym tropem i zgarbioną figurą, mordą znękaną. Chodzi spokojnie, jak duch przesuwa się tu i tam, odwiedza od dawna znane mu miejsca, nie czując się na siłach, młodszych i silniejszych rywali obcinając pod wiatr, rzadko z wiatrem. Stara łania, znana mu od dawna, z pogardą niewdzięcznie na niego zdala spogląda, przypominając sobie dawniejsze dobre czasy z nim wspólnie spędzone; dziś mając silniejszego zastępcę nie dba o niego, czasem może pewne uczucie litości ją wzruszy. Często tak i w pojęciu ludzkim bywa. „Stary kawaler" nie wiele ma życzeń, obchodzi tylko swój dawniejszy harem z ciekawości, czy tak samo się tam dzieje, jak za jego dawnych czasów.

Jest też jeleń „Okrętem" zwany. Nazwę tę dała mu postać olbrzymia, której nikt jeszcze w biegu nie widział. Zawsze spokojny, milczący, idąc, kołysze się jak okręt lekką falą kołysany. Przystając co krok, słucha, ciągnąc, wieńcami gałązki nieruszy. Raz lub dwa razy na rok ktoś go zobaczy i opowiada o potworze jakiego jeszcze świat nie widział. Na ponowie nie opuści ostępu tygodniami, naganka go nie ruszy, psa się boi. Ten wieki chyba żyć będzie.

Olbrzym dzik, młodszy brat „Chaskiela" z Kosobud, odwiedza kilka sąsiednich nadleśnictw każdego miesiąca, zaszywa się latem w zbożu, zimą w remizie na polu lub stercie słomy. Czasem tylko trop go zdradzi, osaczony zawsze się wymknie. Stary kozioł z oddziału 142 „Frankiem" zwany, znany jest! Cuda o jego rozumie myśliwi opowiadają, zwłaszcza ci, którzy go kilkakrotnie chybili. Trafi on najpewniej kiedyś podczas rui na swego!

Kozioł „Bismark" z dębiny od lat ścigany bezskutecznie, istotnie jest mądry i możliwe, że wskutek starości swój żywot skończy.

Tadeusz Metzig.

byłem ciężką pracą i umiejętnością, wyrobioną długiemi latami i biłem przeważnie zwierza z siłą i odwagą, z którym trzeba było liczyć się. Byłem świadkiem (nie udziałowcem) następującego polowania. Setka kozaków z nahajami, w końcu których zaszyto kule, polowała na zające w Elizawetpolskiej gub. Zajęli w kocioł olbrzymi obszar stepu, mając między końmi do 200 kroków; średnica kotła wynosiła do 6 kilometrów.

Oficerowie wjechali do środka kotła, a kozacy krzycząc, zaczęli drobnym kłusem posuwać się do środka. Co krok wyrywały się koty i biegły do środka, żeby nadal krążyć w zaklętym kole. Kiedy średnica kotła zmniejszyła się do 800 kroków, kozacy z kłusa przeszli w krok, a w środku kotła oszalałe koty wytworzyły jakąś przelewającą się szarą masę i zaczęły szmyrgać między końmi i pod konie. I tu zaczęło się nie polowanie, a zabójstwo biednych zajęcy przez uderzenie nahajkami. Kozacy bili trafnie, na polu bitwy pozostało około 160 zajęcy. Innym razem dostało się do takiego kotła pięć stepowych kozłów, (dżejranów), z których jeden został „upolowany“ nahajami.

Taka sama rzeź, czy flinta zastąpiona jest nahają, czy też nahaja flintą.

(D. c. n.). *Gen. A. Kuczewski.*



UDOMOWIENIE DROPIA.

Sprawę o udomowieniu dropia w Polsce, — na kilka lat przed wojną, poruszał ś. p. ksiądz Ludwik Kleczyński, znany hodowca drobiu. Sprawa ta ponownie była poruszana przez pana Trybulskiego i księdza Kleczyńskiego, ale dotychczas nawoływania ich przebrzmiały pustym echem. W sprawie tej i ja zabierałem głos, chcąc przyjść z pomocą inicjatorom myśli o udomowieniu dropia, a mianowicie wskazując miejsca, gdzie można byłoby bez wielkich trudów odszukać gniazda dropi w celu zebrania jaj. Niniejszym więc chcę przypomnieć, że zebranie jaj dałoby się uskutecznić przez ludzi dobrej woli i chęci—w miejscowościach powiatu Prużańskiego i Brzeskiego. W powiecie Prużańskim, w gminie Kotra, są położone majątki: Leżajka, Widne, Czarnołozy i inne sąsiednie. Na terenach tych majątków rok rocznie przebywają, mnożą się i przelatują w dużej ilości dropie. Przebywając w powyższych miejscowościach, jako myśliwy, byłem mocno zaciekawiony życiem i zwyczajami tego przepięknego ptaka, którego niejednokrotnie tam spotykałem, a najczęściej w miesiącu czerwcu, w którym to czasie chłopaki odnajdywali gniazda dropi przeważnie w życie. Odszukanie pobytu dropia nie przedstawia wielkich trudności. Dosyć przejść przez żyto z wyżłem lub gończym — dropie rychło się podrywają i krążą bardzo nizko nad łanem. Miejscowi chłopcy mają dużo wiedzy przy szukaniu jaj, a więc skoroby się znalazł myśliwy lub hodowca i zechciał się tem zająć — to napewno miałby cel osiągnięty. Przed wojną światową spotykałem dropia na polach majątku Werchowicze i sąsiednich, niedaleko stacji Wysokie Litewskie. Majątek Werchowicze należał wówczas do ś. p. pana Jana Rotta, znanego hodowcy i myśliwego. Obecnie majątek ten stanowi własność jego synów. Zapewne dużo myśliwych zwiedza strony województwa Brzeskiego, a więc przy tej okazji dobrze byłoby aby zechcieli zainteresować się tą sprawą. Może więc moja notatka przyczyni się do zapoczątkowania powyższej sprawy, a może trafi do myśliwych lub hodowców wyżej wykazanych miejscowości, a więc może oni zechcą uskutecznić przewodnią myśl S. P. księdza Kleczyńskiego i pana Trybulskiego. A więc nie traćmy nadziei. A może...

Prezes Towarzystwa Myśliwskiego
i Tow. hodowli drobiu w Grodnie.
Gustaw Reinhardt.

Czy dbając o swoje zwierzostany, powinniśmy wypowiedzieć bezwzględną zagładę lisom?

Przysłowiowa przebiegłość lisa budzi zainteresowanie się nim myśliwych więcej, niżby to się spodziewać należało, ze względu na niezbyt wielkie szkody, jakie czyni w naszych zwierzostanach. Ta jego przebiegłość, instynktowo zdobyta, prawie przez wszystkie stworzenia, dla zachowania swego gatunku, a u lisa w szczególności znamienna, jest bodźcem dla myśliwych do szukania przyjemności w tem polowaniu. To ostatnie bowiem pozostawia niezapomniane wspomnienia z przebytych wrażeń, tak miłych myśliwym, radym dzielić się nimi szczególnie w wieku późniejszym, gdy oko i przepracowane nogi odmawiają posłuszeństwa i przykują ich do swego cichego schronienia.

Lis, aby się wyżywić, zabiegać musi nielada, a robi to z takim przedziwnym sprytem, że nas do śledzenia swych sprawek jeszcze więcej zachęca. To też nie omieszkamy, gdy tylko się sposobność zdarzy, zajrzeć do nory z jamnikiem, lub foksterjerem, a w braku psów, uzbrojeni w łopatę, nie żałujemy sił i czasu na rozkopanie nory, aby wybrać młode, lub upolować starego lisa.

Stojąc na stanowisku, podczas jesiennych i zimowych polowań, nie możemy się oprzeć myśli o doczekaniu się lisa i zwykle kręcimy się jak w ukropie na wskazanem nam stanowisku, aby wybrać przesmyk wygodny do ujrzenia go chociażby zdaleka. Ta wielka uciecha, jaką nam sprawia to polowanie, gdy dojdziemy do strzału, a co więcej, dobierzemy się do skóry, powinna się przyczynić do pewnej względności dla lisa.

Dlatego musimy uczynić tu taki bezstronny sąd, którego wyniki z jednej strony zabezpieczyłyby nasze zwierzostany, z drugiej, pozwoliły na pewną tolerancję lisiego rodu z przyjemnością polowania związane, oraz z korzyściami materjalnemi, jakie nietylko samym myśliwym, ale i przemysłowi krajowemu obojętnemi być nie mogą.

Czy wszystkie osobniki robią szkody jednakowe, czy też zależnie od sposobu żywienia się? W praktyce łowieckiej spostrzegamy właśnie tę nierówną szkodliwość lisa; bywają ssakami, szczególnie młode, żywiące się drobnemi ssącemi, przeważnie sorkami, myszami, owadami i ich poczwarkami, starsze, zasmakowawszy w bażantach, zającach i innej zwierzynie, robią większe szkody w zwierzostanach; obserwować zdarzało nam się lisa na leśnym terenie, jak z dziwną uporczywością dusił zające przez cały miesiąc luty, co można było stwierdzić po śladach i znajdywanych cąbrach, zachowywanych przez tegoż w dobrze ukrytych miejscach.

Przystąpmy więc do samej oceny szkód, jakie lis nam sprawia: Najszkodliwszym jest on w rewirze podczas wychowywania młodych; staje się wtedy, z konieczności, aby podołać rodzicielskim obowiązkom, rozbójnikiem bezwzględnym; nie przebacza żadnemu stworzeniu: dusi młode sarniątka, porywa zające, nie pogardza jeżem, chomikiem, kretem, śledzi zawzięcie kuny i tchórze, ze szczególnem zamiłowaniem uprawia łowy na bażanty, tępi jarząbki, kuropatwy, kaczki i wszelkie inne ptactwo, gnieżdżące się na ziemi; zagląda na nasze podwórza, dusząc i porywając kury i kaczki. — Zdawałoby się, że już niema dla lisa obrony, wobec powyżej stwierdzonych zbrodni! — Ale, gdy tylko młode na tyle podrosną, że mogą się same wyżywić, lis przestaje być rozbójnikiem. A nawet podczas karmienia młodych, wina jego bardzo się zmniejsza, bo sam chudy, obdarty z szerści, pokryty kleszczami, robactwem, przesuwa się jak cień wśród lasu, lub pól obsianych i więcej na nędzarza, jak na pieczeniarza, wygląda.

Najlepszą zaś dla niego obroną jest przedewszystkiem wrodzony mu, a nieprzeparty pociąg do łowienia myszy i na tem polowaniu większą część życia przepędza, bo nietylko się w ten sposób żywi, ale i zabawia, przypłacając to nieraz życiem, gdy go sprytny myśliwy, naśladując pisk myszy, na odległość strzału zwabi. A nawet podczas karmienia młodych nie przestaje, pomimo czynienia większych szkód, polować również na myszy.

Zasiadłszy wysoko na drzewie, w ukryciu, podczas wychowywania młodych, można się przyjrzeć tej ciężkiej pracy lisa i podziwiać spryt dla zdobycia żeru. A więc przytoczmy taki obrazek: Zaszeleściały suche gałązki grubą warstwą leżącego igliwia i staje w pewnem oddaleniu od nór, jak z pod ziemi wyrosły lis, samiec, pomagający liszce w karmieniu młodych, trzyma coś napozór większego w pysku, wabiąc ledwo dosłyszalnym mruczeniem młode, powstaje dudniący harmider w norach, z których, jak z procy wysypuje się siedem lisiąt, biegnąc na wyścigi do karmicielki i wyrywając sobie przyniesioną zdobycz. Lecz pada strzał! Na pokocie pozostaje stary lis i dwa młode, oraz siedem myszy i kret. Praca i zdolność lisia nielada doczekać się i wykopać nadzwyczaj ostrożnie kreta, upolować siedem myszy, wracać pod trop, aby je pozbierać, a co już prawdziwą sztuką lisią można nazwać, to umiejęt-

ny uchwyt, aby biorąc jedną, nie puścić drugiej. Jak starannie muszą być układane, aby później za jednym chwytem, zabrać wszystkie siedem sztuk i kreta!

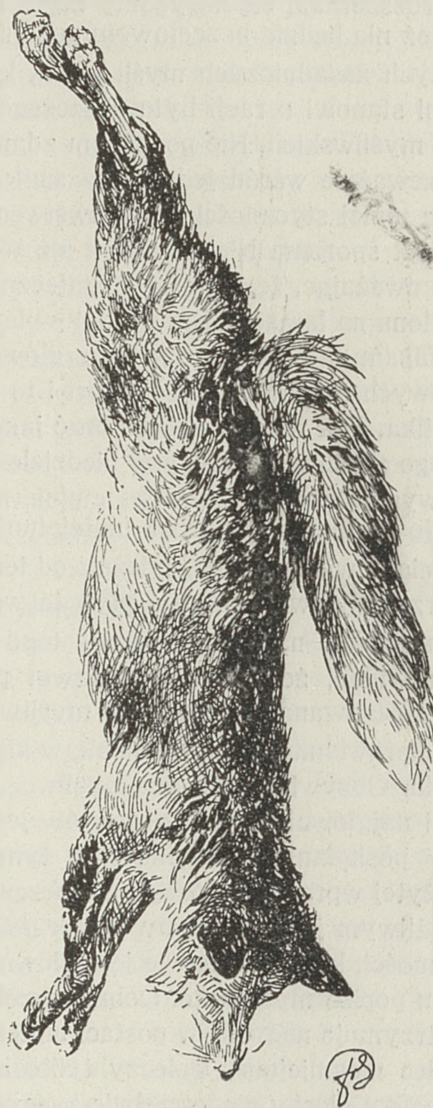
Starszym już lisiętom rodzice nie mogą dostarczyć żeru łowieniem myszy i wtenczas niejedno sarniątko, a szczególnie zające i bażanty, padają ofiarą. Lis, zdusiwszy zająca, nie próbuje go wziąć całego, gdyż jest o tej porze wychudzony i słaby, z konieczności pożera na miejscu część przednią i patrochy, resztę niesie dla młodych, co ofiary powiększa.

Gdy samica i samiec polują razem, to niosą zająca całego, idąc obok siebie, jak dwa konie w zaprzęgu. Tyle dowcipu wykazuje lis podczas żywienia i karmienia młodych, że na ten temat opowiadania myśliwych końca nie mają.

Szkodliwość lisów występuje w ścisłym prawie stosunku do obfitości myszy. Lata, co do ilości tych ostatnich, są różne: zdarza się, że gdy po nagłych odwilżach następują nagłe mrozy, a z tej przyczyny i gołoledzie, myszy duszą się w swoich norach masowo.

To, co powiedzieliśmy, stwierdza, że szkodliwość lisów jest względną, że bądź co bądź, unikając zbytniego ich rozmnażania, należałoby tym miłym szkodnikom, nie wypowiadać walki bezwzględnej. Oszczędzajmy, o ile to możliwe, lisów przed pokryciem się tychże cennym dla nas futrem; choć dla tradycji, nie zarzucajmy zupełnie polowań przy norach z psami; łapmy lisy w żelaza — tylko miejmy trochę dla nich litości, używając żelaz, opatrzonych w chwyty, pokryte gumą, aby zmniejszyć cierpienia zwierzęciu. Co do jesiennych i wiosennych polowań, nie potrzebujemy się ograniczać, gdyż jest to najodpowiedniejsza pora do zdobycia cennego futra, a przytem popisanie się doświadczeniem i celnością strzału i te polowania, nie przetrzebią zbytnio zwierzostanu lisiego. Tem bardziej, że, aby unieść cało swą skórę, lis o tej porze używa forteli: były wypadki, że gdy w miocie gęsto padać strzały zaczęły, a lis czuł się w ciężkich opałach, a nory nie było — przywarował przed samą linją myśliwych, aby później jak z pod ziemi wyrosłszy, i w dużych skokach, zburzyć zimną krew najlepszemu myśliwemu, wywijając długą kitą, zmylić cel i ujść cało, ku uciesze na stanowiskach obecnych myśliwych. Lub też spostrzegłszy stojących na linji myśliwych, udać postrzelonego nieszczęśliwca, czołgającego się na brzuchu resztkami sił, dla którego już szkoda naboju, aby, upatrzywszy odpowiednią chwilę, drapnąć w najbliższe krzaki, lub gąszcza i uniemożliwić strzał zahypnotyzowanemu tym wypadkiem myśliwemu.

Trafia się często, że na chwilę traci przytomność i podchodzi czasem na parę kroków do myśliwego, bo jak każdy, szczególnie młody pies, łatwo strachowi podlega, co mu zmysły przytępia. Wiedząc z doświadczenia, że lis większą część życia spędza na tępieniu myszy i tępi je masowo, Anglicy w swej ojczyźnie dali mu pewne prawo obywatelstwa, choć niezupełne, bo parforsowe polowania na lisa z fokshundami cieszą się tam ogromnem powodzeniem. Więc dla cennego i trwałego futra, dla właściwych lisowi wybiegów, opowiadaniami o których uprzyjemniamy sobie nie jedną chwilę, nie tępmy lisa bezwzględnie. Miejmy dla niego trochę litości.



LIS.

R. Nowierski.

Cele i zadania stowarzyszeń myśliwskich.

Zdawałoby się, że temat, w tytule podany, był już tak szeroko omawiany w fachowej prasie i stowarzyszeniach myśliwskich, że nic nowego w tej kwestji ani dodać ani też ująć nie można. Równolegle jednak z postępem i rozwojem społeczeństwa coraz to więcej rozszerzają się horyzonty myśli łowieckiej i dlatego też nie będzie bezcelowem podanie w streszczeniu tych zasadniczych myśli i idei, kierowanie się któremi stanowi o racji bytu poszczególnych towarzystw myśliwskich. Nie podzielam zdania, istniejącego przeważnie wśród jednostek społeczeństwa, które mają mniej styczności z myśliwstwem, że myśliwstwo jest sportem. Nie zabieram też w tej sprawie głosu, uważając, że kwestja dostatecznie została już oświetlona na łamach „Przeglądu" w latach ubiegłych. Uważam natomiast, że jedną z głównych części składowych myśliwstwa jest sport i to nie jeden, a nawet kilka. Tak więc, jeżeli nie brać jako typ idealny takiego myśliwego, który w niedzielę wyjeżdża tylko na wynajęte w podmiejskiej gminie polowanie, to prawidłowy myśliwy oprócz umiejętności dobrego strzelania powinien umieć, zależnie od terenu działania, dobrze i wytrwale chodzić, pływać, wspinać się po górach, jeździć na nartach. Już z tego drobnego przykładu widać, że myślistwo, nawet poza bezpośrednio skierowaną ku temu wolą myśliwego, zmusza go do uprawiania i trenowania się w kilku rodzajach sportu. Oczywiście, że dla myśliwego najważniejszym i najgłówniejszym ze sportów jest strzelanie. Bez posiadania umiejętności w tym kierunku i bez należytej wprawy, co osiąga się przez trenowanie, niemożliwym jest skuteczny wynik polowania, t. j. tej czynności, która właściwie jest głównym celem oraz polem popisu myśliwego. Dobry strzelec na polowaniu otrzymuje nagrodę w postaci ubitej zwierzyny: strzelec nieumiejętny kaleczy tylko lub w lepszym wypadku płoszy niepotrzebnie zwierzynę, a po polowaniu ma niesmak, jak każdy człowiek, którego spotkał zawód przy dążeniu do zamierzonego celu. Tak więc jednym z nieodzownych warunków, jakim powinien zadośćuczynić każdy myśliwy, jest przedewszystkiem wykazanie się umiejętnością dobrego strzelania. To, co powiedziałem wyżej, dotyczy działu sportowego myśliwstwa. Nie mniej ważną jest strona etyczna w myśliwstwie. Wiemy, że dziki człowiek na polowaniu hołdował i hołduje tylko zasadzie bezwzględnej zdobyczy, a więc czy to litość dla zwierzyny, czy też uwzględnienie pewnych okresów jej życia, nie były brane pod uwagę. Z biegiem jednak czasu kultura zaczęła wytwarzać pewne zasady, które obowiązują myśliwych tak ze względów etycznych, a więc unikanie bezcelowego zabijania i litość dla każdego żywego stworzenia, jak i praktycznych t. j. ochrona zwierzyny przed jej zupełnem wytępieniem. Zasady te stale ulegają ewolucji, co ma swój wyraz w rozwoju prawodawstwa myśliwskiego, a myślą przewodnią tych zasad jest przedewszystkiem ochrona zwierzyny oraz ustalenie, że tak się wyrażę, najmniej bolesnych metod jej zabijania. Tak więc obecnie myśliwy, aby zyskać miano prawidłowego myśliwego, powinien posiadać gruntowną znajomość wszelkich prawideł, które wytworzyła etyka i tradycja myśliwska, a które obowiązują przy wykonywaniu polowania: znajomość taką osiąga myśliwy przez odpowiednie kształcenie się. Ponadto rozwija myśliwy w duszy swej wrodzone każdemu człowiekowi w mniejszym lub większym stopniu, zamiłowanie do natury i jej piękna oraz poczucie, że każda żywa istota, być może nie w takim stopniu jak człowiek, jednak odczuwa ból i cierpienie. Aby uczucia te w duszy myśliwego zagnieździły się na stałe i były mu drogowskazem we wszystkich okresach jego życia łowieckiego, trzeba by myśliwy był odpowiednio wychowany. Przejdziemy teraz do innego działu myśliwstwa, działu, który ma jednocześnie wielką wagę w gospodarstwie społecznem kraju: jest to hodowla zwierzyny. Określenia „hodowla zwierzyny" używam w najszerszem znaczeniu, rozumiejąc przez to wszelkie zabiegi i starania, jakie się czynią dla ochrony zwierzyny, dostarczania jej najwygodniejszych warunków bytowania oraz zwiększenia jej ilości i jakości. Myśliwy przez uprawianie polowania zabija pewną ilość zwierzyny, przez co pomniejsza zwierzostan na danym terenie: zmniejszenie postępuje z szybkością, zależną od ilości i wartości myśliwych i polowań. Jednocześnie z tym zwiększanie się ludności oraz postępy cywilizacji niszczą warunki, które sprzyjają istnieniu zwierzyny w danej okolicy, skutkiem czego zwierzyna albo stopniowo ginie, lub też uchodzi w przestrzenie bardziej niedostępne. Aby więc mieć pole do działania, myśliwy musi warunkom wpływającym na pomniejszenie zwierzostanu przeciwstawić starania ku jego powiększeniu. W innym wypadku zwierzostan będzie stale się pomniejszał, a myśliwy i myśliwstwo utraci wszelką rację bytu. Skutki ujemne takiego stanu rzeczy dla myśliwstwa są nazbyt oczywiste, a gospodarstwo społeczne ponosi stratę przez skreślenie w stanie czynnym swego bilansu pozycji dochodowej w postaci ubitej zwierzyny.

Jest jeszcze jedna gałęź gospodarstwa społecznego, w rozwoju której myśliwy jest bezpośrednio

zainteresowany, przeto ciąży na nim obowiązek dbania o należyty jej rozwój: jest to hodowla myśliwskich psów rasowych. Jeżeli możliwe są dla myśliwego pewne rodzaje polowań wiosennych i zimowych bez psa, to zupełnie nie jest to możliwem na polowaniach letnich i jesiennych. Ogólnie jest znanem zdanie, że pies jest najwierniejszym przyjacielem, jest on nieodzownym pomocnikiem przy uprawianiu polowania. Czy to przy szukaniu zwierzyny czy przy tropieniu postrzałka, ściganiu drapieżnika lub dostaniu ubitej zwierzyny — myśliwy częstokroć jest zupełnie bezradny nie mając psa. Podobnie jak w życiu wystrzegamy się złych przyjaciół, tak musimy do polowania unikać używania psów niedostatecznie lub zupełnie nie tresowanych oraz nie należących do ras psów myśliwskich. Pies taki raczej szkodę niż pożytek myśliwemu przynosi. To też rozwój hodowli i tresury odpowiednich psów myśliwskich powinien być przedmiotem stałego zainteresowania się i poparcia każdego prawidłowego myśliwego.

Dotychczas mówiliśmy o zadaniach jakie ma do osiągnięcia każdy prawidłowy myśliwy. Aby jednak sprostać tym zadaniom i osiągnąć zamierzone cele, poszczególny myśliwy nie może ku nim dążyć samotnie. Już od najdawniejszych czasów ludzie przy uprawianiu polowania łączyli się w zrzeszenia celem wspólnego pokonywania trudności, jakie piętrzyły się na ich drodze do zamierzonego celu—ubicia pewnej ilości zwierzyny. Życie jednak wciąż naprzód kroczy, pojęcia i poglądy ludzkie na poszczególne objawy tego życia zmieniają się, więc zmienił się i charakter zrzeszeń myśliwskich. Całemi szczepami dokonywane u dzikich narodów przygotowywania i wyprawy na łowy, w naszem społeczeństwie mają odźwierciadlenia w postaci zorganizowanych towarzystw myśliwskich. Ostateczny cel tych towarzystw — uprawianie polowania, zasadniczo zmianie nie uległ, lecz jakże daleko rozeszły się drogi, któremi kroczy człowiek pierwotny oraz człowiek teraźniejszego poziomu kulturalnego. Współczesne zrzeszenie łowieckie ma znacznie rozszerzony zakres czynności, albowiem nie tylko ma na celu wykonywanie polowania, ale też dąży do stworzenia warunków, by polowania miały najpomyślniejszy skutek i aby myśliwy był odpowiednio przygotowany do polowania. Zadania te uwidoczniają się wyraźnie, jeżeli zreasumować wyżej przytoczone warunki jakim powinien odpowiadać prawidłowy myśliwy. Pomijam główny cel zrzeszeń łowieckich — uprawianie, względnie sprzyjanie uprawianiu polowań, cel ten jest myślą przewodnią każdego zrzeszenia myśliwskiego i ożywia je tak samo, jak dusza ciało nasze ożywia. Jak wynika z niniejszych rozważań, zadania myśliwego są różnorodne, jednak ściśle są one pomiędzy sobą związane i tworzą harmonijną całość. Zaniechanie dążenia ku osiągnięciu jakiegokolwiek z wymienionych zadań narusza ich wzajemną harmonję, na czem traci całość, podobnie jak w organizmie ludzkim nadmierny rozrost względnie osłabienie niektórych funkcji organizmu odbija się ujemnie na całym organizmie. Nie może więc być dobrym myśliwym doskonały strzelec nie zachowujący przykazań etyki łowieckiej i nie dbający o zapewnienie zwierzynie nadzoru i ochrony na należącym do niego terenie łowieckim. Osiągnięcie omówionych zadań jest możliwem tylko przy wspólnem działaniu większej ilości myśliwych, zrzeszonych w towarzystwach myśliwskich. Jako jednostki zbiorowe wyposażone w większy zasób środków materjalnych i moralnych, zrzeszenia takie łatwiej sprostają zadaniom, częstokroć wprost nie wykonalnym dla pojedyńczego myśliwego, dość przytoczyć przykład podniesienia zwierzostanu na większych przestrzeniach, popieranie hodowli i tresury psów myśliwskich, propaganda myśli łowieckiej i t. p. W zrzeszeniu więc osiągają się cele i zadania jakie ma przed sobą każdy myśliwy. Powtórzę raz jeszcze główniejsze: 1) nauka strzelania i trenowanie się w strzelaniu — w tym wypadku towarzystwo sięga nawet celów o znaczeniu państwowem, przysposobienia wojskowego obywateli; 2) wykształcenie i wychowanie myśliwego w duchu przykazań etyki łowieckiej oraz uświadamiania go, w razie potrzeby, co do rodzaju i sposobów wykonywania polowań; 3) prowadzenie planowej akcji ochrony i hodowli zwierzyny; 4) dążenie do rozwoju hodowli i tresury myśliwskich psów rasowych. Pozatem stowarzyszenie myśliwskie, jako jednostka zorganizowana, stanowi pewną komórkę w organizmie społecznym i dla tego też wykonywuje jeszcze szereg pomniejszych zadań, mających wartość społeczną jako to: popieranie krajowego przemysłu handlu zwierzyną, skórami zwierzyny, popularyzowanie wiadomości oraz popieranie badań naukowych fauny, rzecz prosta, przedewszystkiem krajowej, współpraca i czynne poparcie literatury fachowej i t. d. Jak widać z powyższego zakres czynności zrzeszeń łowieckich jest nader obszerny i obejmuje nie tylko duchową oraz praktyczną stronę życia myśliwskiego, lecz bierze też czynny udział w ogólnym rozwoju swego społeczeństwa. To też rzetelna praca myśliwych w zrzeszeniach łowieckich skierowana ku osiągnięciu wyszczególnionych celów i zadań, powinna być ceniona jako spełnianie dobrych uczynków obywatelskich.

O bardziej praktycznych i skutecznych drogach do osiągnięcia celów, przyświecających stowarzyszeniom łowieckim, pomówimy w następnym artykule.

Witold Tyszewicz.

Broń i amunicja.

O przyszłość wyrobów firmy „POCISK“.

W związku z ankietą w sprawie naboi i łusek firmy „Pocisk“ i na podstawie poczynionych przezemnie prób porównawczych, mogę wyroby te jaknajgoręcej polecić wszystkim Panom Myśliwym.

Nie ustępują one bowiem ani pod względem pokrycia celu i penetracji, ani też pod względem pewności spłonki i zachowania się łuski po strzale, ani nabojom w kraju napełnianym „Warsz. Spółki Myśliwskiej“, ani też wykonanym w całości zagranicą nabojom marek: „Wöllersdorf“, Wetzler A. G.“, „Geko“, a nawet „Walsrode-Ballistote“, które w jesieni 1925 roku przywiozłem sobie z Włoch.

Z powyższego jednak nie wynika bynajmniej, by losy tych wyrobów, uznanych dziś prawie jednogłośnie za dobre były zadecydowane w korzystnem znaczeniu. Jeżeli firma „Pocisk“ chce opanować w sezonie myśliwskim 1926/7 nasz rynek wewnętrzny, to musi ona bezwarunkowo już dziś rozpocząć kampanję ofenzywno-reklamową.

Wielu bowiem, a zwłaszcza starszych myśliwych, przyzwyczaiwszy się do jakiejś marki zagranicznej od wielu lat, nie chce wierzyć, by poza nią mogło coś dobrego istnieć i by wogóle w kraju umiano coś dobrego wyrabiać.

Z drugiej zaś strony wielu kupców tej branży, przedewszystkiem prowincjonalnych, czy to przez stare przyzwyczajenie i rutynę, połączone z brakiem inicjatywy, czy też w nadziei większych zysków, trzyma się nadal kurczowo swych przedwojennych dostawców zagranicznych i zachwala klijentom ich wyroby, droższe, choć nie lepsze, ale zato imponujące samą swą „zagranicznością“ i oszałamiającą reklamą!

Wystawy sklepowe i ogłoszenia w prasie i w oknach niektórych firm, nie czyniąc w nich żadnych zmian, gdyby przetransportować do Berlina, to tam zupełnieby nie raziły; rażą one natomiast u nas wzrok uświadomionego myśliwego, bo począwszy od naboi, a skończywszy na futerałach, lub smarach do broni, wszystko jest w nich zagraniczne! Niektórzy panowie kupcy uznali wprawdzie formalnie powstanie Państwa Polskiego, ale myślami tkwią ciągle jeszcze i orjentują się handlowo do dzisiaj „nach Berlin via Danzig“, albo „nach Wien via Mährisch Ostrau!“

Wielu znowu nowych, powojennych adeptów handlu bronią, jest jeszcze niemowlętami w swym zawodzie; nie czytają oni pism myśliwskich, nie utrzymują kontaktu z ogółem myśliwych i nie rozumieją się na broni i amunicji—a sprowadzają i sprzedają to, co im wmówią komiwojażerowie i na czem większy rabat!

Jeden i drugi rodzaj kupców musi być dopiero wychowanym przez ich bardziej uświadomionych fachowo i państwowo kolegów, oraz przez ogół myśliwych.

Pozatem jednak firmy krajowe, a w szczególności „Pocisk“, muszą się zdobyć na reklamę czysto ofenzywną!

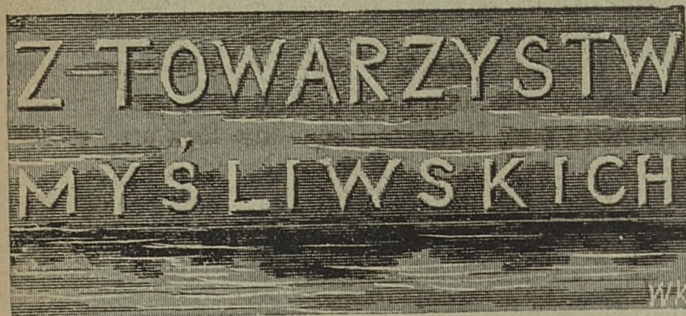
Z jednej strony bowiem trzeba tych konserwatywnych kupców wyrwać przemocą z apatji, a z drugiej strony, trzeba bezwarunkowo trafić bezpośrednio do klijenteli; z tej zaś klijenteli, to znaczy ogółu myśliwych w Polsce, niestety, 90 proc. nie czyta wcale pism łowieckich!

Z tego też względu należy działać zapomocą ogłoszeń w pismach codziennych, barwnych afiszy reklamowych, agencji prowincjonalnych, okólników do klubów łowieckich itp. — a jednocześnie umieszczać ogłoszenia wyższego typu, będące zarazem artykułami propagandowymi, w pismach fachowych. Z pewnością zaś pieniądze, wydane na cele reklamy w r. 1926, wrócą się dziesięciokrotnie w 1 — 2 latach następnych!

Nadmienię jeszcze, że firma „Pocisk“ powinna co pewien czas ogłaszać swe ceny hurtownicze i detaliczne; w czasie bowiem, gdy naboje jej w Warszawie kosztowały po 28 groszy za sztukę, żądano odemnie za nie w Grudziądzu po 40 gr. Wreszcie trzebaby opublikować zewnętrzne znaki oryginalnych maszynowych naboi „Pocisku“, żeby uniknąć „propagandy“, robionej firmie przez rozmaitych wątpliwych fachowców, napełniających sposobem oszczędnościowym łuski firmowe we własnym zakresie.

Na zakończenie dodam, że na wniosek podpisanego, walne zgromadzenie członków „Pomorskiego Klubu Myśliwskiego“, odbyte dnia 20 lutego r. b. w Grudziądzu, przy udziale delegatów z Torunia, uchwaliło wezwać członków klubu do bojkotowania firm, które nie będą utrzymywać na składzie naboi „Pocisk“ i innych krajowych wyrobów tej branży— i zawiadomić o tej uchwale odnośnych kupców.

Czesław Mańkowski.



Z WIELKOPOLSKIEGO ZW. MYŚL.

Zarząd Wielkopolskiego Związku Myśliwych komunikuje: Walne Zebranie Związku odbędzie się w sobotę dnia 20 marca r. b. o godz. 4-ej po południu w Poznaniu w sali Wielkopolskiej Izby Rolniczej, przy ul. Mickiewicza.

Porządek obrad następujący: 1) zagajenie, 2) odczytanie protokółu z ostatniego Walnego Zebrania, 3) sprawozdanie z działalności za rok 1925, 4) zakładanie parków zajęczych i bażancich na Wielkopolskę (referent wiceprezes p. Franciszek Unrug), 5) uroczyste wręczenie nagród za schwytanie kłusowników, 6) sprawozdanie kasowe, 7) sprawozdanie Komisji Rewizyjnej, 8) kooptacja dwóch dalszych członków zarządu, 9) wybór myśliwskiego sądu rozjemczego, 10) urządzenie wystawy łowieckiej w roku bieżącym, 11) urządzenie konkursowego strzelania myśliwskiego w roku bieżącym, 12) wolne głosy i zamknięcie. O liczny udział uprasza Zarząd Wielkopolskiego Związku Myśliwych.

Sekretarz: (—) **Kostro**. Prezes: (—) Chłapowski.

Z MIŃSKO-MAZ. TOW. ŁOWIECKIEGO.

Mińsko-Maz. T-wo Łowieckie i O. Z. urządzało na terenach swych członków, będących w eksploatacji T-wa, 8 polowań na zające z różnym bardzo rezultatem.

Poszczególne wyniki dowodzą niezbicie, iż tylko tereny ochraniane przez właścicieli i ich administrację, stanowiły dobre łowiska, na których zajęcy padło i widziało się znacznie więcej, niż w łowiskach, pozostawionych bez pieczołowitej opieki, lub w takich, gdzie zwierzynę strzelano „na pomyka", na użytek własny od samego otwarcia polowania na jesieni. Tu należy podkreślić, że absolutny spokój na terenach zajęczych, gdzie w ciągu roku ograniczano się wyłącznie do tępienia szkodników, wpływa dodatnio na wyniki polowania zimowego, podczas, gdy na skutek ustawicznej, co kilka dni, pukaniny, niepokojona zwierzyna wędruje na sąsiednie, obce tereny, tam znów podlega tępieniu przez zawodowych kłusowników i w rezultacie łowisko takie, mimo najlepszych warunków przezimowania zwierzyny i mimo sprzyjającej wiosny, jest do grudnia całkowicie przetrzebione.

Kuropatw wszędzie spotykano znaczną ilość— oby tylko śniegi i mrozy bieżącej zimy, nie przyczyniły się do ich znaczniejszego wyłapania w sidła przez specjalistów wśród włościan, których w naszym powiecie nie brak. Jeśli tego kuropatwy nasze unikną, można przewidywać w razie sprzyjającej pory lęgowej kwitnący ich stan do odstrzału we wrześniu.

1) Sezon otworzono 24 października 1925 roku w Porębach Leśnych (własność dr. Leszczyńskiego z Warszawy), gdzie polowano wyłącznie w zagajnikach i lesie przy bardzo ciepłej (+ 14° R.), ślicznej pogodzie.

W 12 strzelb zabito 25 zajęcy, 3 kuropatwy i 2 jastrzębie (krogulce). Stan zajęcy był tam dobry, lecz dosiadywały bardzo twardo i część tylko zdołano skierować na myśliwych.

Największą ilość na rozkładzie mieli pp. Jan Dobrowolski (4 zające i jastrząb) i Władysław Zabiełło (5 zajęcy).

Polowanie to było próbnem na życzenie dr. Leszczyńskiego, który przed oddaniem swych terenów do eksploatacji T-wa, pragnął zapoznać członków z ich wartością.

Oprócz zajęcy i kuropatw, Poręby Leśne posiadają najliczniejszy w powiecie stan cietrzewi (są jeszcze 2 inne łowiska z tą zwierzyną, lecz słabiej reprezentowaną), gdyż na polowaniu tem widziano ich do dwudziestu, z czego większość kogutów, lecz do strzału nie doszło. Wiosną 1925 r., według relacji gajowych, tokowało około trzydziestu kogutów.

W ostatniej chwili dowiadujemy się, że dr. Leszczyński ku naszemu żalowi i wbrew celom naszego T-wa, co do zcalenia wszystkich terenów w powiecie pod jednym zarządem, oddał Poręby Leśne do eksploatacji grupie myśliwych z Warszawy za lichy czynsz, co uważać musimy za nieusprawiedliwiony odruch przeciwko naszej działalności, tem trudniej zrozumiały, że T-wo nasze w r. 1926 sprowadza specjalistę hodowcę zwierzyny i organizatora straży leśnej pod względem ochrony, objazdowego terenów.

2) 3-go listopada polowano w 8 strzelb w Przytoce (własność p. Romana Andrzejkowicza) w dzień pogodny, lecz bardzo wietrzny.

Stan zajęcy b. słaby, również jak i na sąsiednim, dzierżawionym przez T-wo terenie włościańskim wsi Aleksandrów. Kuropatw sporo.

Padło 6 zajęcy i 1 kuropatwa.

Największą ilość położył rtm. Celestyn Kański, bo 3 zające. Gości podejmowali pp. Andrzejkowicze u siebie w domu ze staropolską gościnnością.

3) 14-go listopada odbyło się polowanie w Ru-

dzie (własność p. Marjana hr. Starzeńskiego) przy ładnej pogodzie (plus 10° R.).

W 16 strzelb ubito 40 zajęcy, 2 kuropatwy i 1 lisa, oraz wronę. Największą ilość (po 6 zajęcy), mieli na rozkładzie pp. por. Witold Prawdzic-Szczawiński i Władysław Zabiełło.

W Rudzie zaznaczył się już bardzo wpływ pieczołowitej ochrony, jakkolwiek majątek ten jest otoczony gruntami włościańskiemi, z których tylko część i dopiero od stycznia 1926 r. zdołaliśmy wydzierżawić, resztę dzierżawią jakieś grupy myśliwych warszawskich, często urządzających tam świąteczne pukaniny na pomyka, lub eksploatują sami włościanie w swój swoisty sposób.

4) 5-go grudnia odbyło się polowanie w 16-cie strzelb w Siennicy (własność pp. Czarnockich).

Pogoda śnieżna i wietrzna utrudniała polowanie i strzały (minus 4° R.). Pokot mimo to wypadł piękny, dając 83 zające.

Największą ilość mieli na rozkładzie pp. por. Brochocki i Mieczysław Gierałtowski, obaj z Warszawy (po 11 zajęcy).

Trzeba dodać, iż ogólnie stan zwierzyny w Siennicy należy uznać za kwitnący, że pokot powyższy osiągnięto na około 450 ha, licząc w to dzierżawione sąsiednie grunta włościańskie, bowiem kilka włók środkowych majątku pozostawiono jako rezerwat niepolowane.

Na tem miejscu czujemy się w obowiązku wyrazić specjalne uznanie p. Julianowi Czarnockiemu za doskonałą organizację samego polowania, oraz zarówno jemu, jak dzierżawcy Siennicy, p. Wacławowi Zdzitowieckiemu, za wytężoną pracę nad ochroną zwierzyny i za prześladowanie kłusownictwa.

Myśliwi byli podejmowani przez gospodarzy gorącem śniadaniem w lesie, które miało swój specyficzny urok, wytwarzając miły, towarzyski nastrój.

5) 12-go grudnia opolowano w 7 strzelb tereny wsi Mistów, około 400 ha. Pogoda fatalna, wietrzna, odwilż (plus 1° R.), śnieg gęsty padał ciągle. Pokot 13 zajęcy, jakkolwiek zwierzyny widziało się znacznie więcej. Najwięcej zabił p. płk. Zygmunt Piasecki (4 zające).

6) 19-go grudnia w 10 strzelb przy odwilży (plus 1° R.), w dzień śnieżny i wietrzny na terenie Niedziałki (własność p. Mieczysława Schielego), oraz na terenach sąsiednich wsi, gdzie był stan zajęcy b. zły, zabito 16 zajęcy, 1 lisa i 1 jastrzębia (kobuza-sokoła).

Najwięcej na rozkładzie miał p. Borkowski, rządca miejscowy (4 zające). W jednym miocie leśnym padło 10 zajęcy i 1 lis, w zagajniku gęstym naganka nie mogła chodzić, z kotłów wiele zajęcy uszło niestrzelanych.

Państwo Schielowie nader gościnnie podejmowali myśliwych śniadaniem we dworze w południe i po polowaniu.

7) 2-go stycznia 1926 r. odbyło się polowanie w lasach Mińskich przy udziale 12 strzelb. Padło 22 zające i pies. Dzień był pogodny, lecz przy odwilży i po czarnej stopie. Wiele zajęcy uszło przez nagankę, która zresztą źle chodziła. Stan zajęcy, mimo kłusownictwa na tych terenach znacznie się poprawił. Największą ilość (6 zajęcy) położył p. Wacław Bełkowski z Nowodworu.

8) 21-go stycznia polowano w kołty na polach Mińska, przy udziale 11 strzelb.

Żabito 9 zajęcy, drugie tyle uszło niestrzelanych. Pogoda 7° R. Stan zajęcy na Mińsku poprawić się może dopiero wtedy, gdy władze zmobilizują wszelkie możliwe środki przeciw kłusownikom, grasującym na miedzy.

W wietrzny i śnieżny dzień zabito w 14 strzelb 77 zajęcy. Królem polowania był p. płk. Zygmunt Piasecki, mając na rozkładzie 9 zajęcy. Wiele zajęcy uszło niestrzelanych lub opudłowanych, bowiem sypiący w oczy ostry śnieg utrudniał bardzo lub uniemożliwiał strzały. Naogół zwierzostan bardzo ładny i znać pieczołowitą opiekę właściciela, który skrzętnie ochrania swoje tereny przed kłusownictwem i wnykarstwem.

Komendant posterunku pol. Siennica, na terenach tego majątku i Nowodworu odebrał w sezonie ostatnim 5 strzelb kłusownikom! Mimo tego kłusownicy wśród włościan pomagają sobie wnykami. Podczas polowania zdjęto z wnyka tylko co wpadłą weń samicę, którą uratowano i puszczono wolno.

Państwo Bełkowscy nadzwyczaj gościnnie podejmowali swych gości we dworze sutem śniadaniem myśliwskiem i wieczorem obiadem, podczas którego spędzono kilka miłych godzin.

Dnia 30-go stycznia urządził małe polowanie p. Stanisław Błociszewski, wł. Mlencina, na swoim terenie i w Ujazdowie (wł. p. Tadeusza Błociszewskiego). Widziano zdaleka tylko pięć zajęcy — nie zabito żadnego, kuropatw nie spotkano wcale.

Państwo Błociszewscy podejmowali z nadzwyczajną gościnnością myśliwych, którzy zawdzięczają im pod względem towarzyskim nader miłe wspomnienia na zakończenie sezonu.

Wynik polowanie na Mlencinie i Ujazdowie jaskrawo stwierdza, czem jest dla zwierzyny ochrona właściwa i jak dalece ją niszczy kłusowanie, lub tylko bezustany odstrzał na pomyka, co uprawiają wszyscy włościanie, posiadający pozwolenie na broń i karty łowieckie.

W związku z tym wynikiem, T-wo występuje do Starostwa z wnioskiem o zamknięcie polowania na kuropatwy i zające na cały rok 1926 i styczeń 1927-go we wszystkich przyległych gminach w tej okolicy.

BEZPŁATNA PRENUMERATA!

Kto dostarczy „Przeglądowi" 5-ciu NOWYCH prenumeratorów na cały rok 1926-ty, przekazując jednocześnie od każdego nowego prenumeratora conajmniej należność w sumie zł. 14.— za I półrocze b. r., otrzymywać będzie pismo oraz dotatki bezpłatnie w ciągu całego roku 1926-go.

Administracja: „Przeglądu Myśliwskiego i Łowiectwa Polskiego".

Redaktor Naczelny: Juljan Ejsmond.
Dyrektor Zarządzający: Benon Perzyński.

Wydawca: Myśliwska Spółka Wydawnicza (Sp. z ogr. odp.).
Zarząd: Juljan Ejsmond, St. Krzywoszewski, B. Perzyński.

Komitet Redakcyjny: Wł. Czerniejewski, Janusz Domaniewski, Józef Gieysztor, Wł. Janta-Połczyński, Adam hr. Rzewuski i Bolesław Świętorzecki.

Redakcja i Administracja: Nowy Świat 21 (księgarnia Perzyński, Niklewicz i S-ka) tel. 107-37.

Cena numeru niniejszego **zł. 1.30** Prenumerata kwartalna **płatna z góry** wraz z dodatkiem (Bibljoteka Myśliwska) = **7 zł.** miesięczna **zł. 2.50.** Konto czekowe w P. K. O. Nr. 7595. **Rękopisów Redakcja nie zwraca.**

Cena ogłoszeń: 1/1 str. **120 zł.** 1/2 str. **60 zł.**; 1/4 str. **37.50 zł.**; 1/8 str. **22.50 zł.**; 1/16 str. **12 zł.**
Pierwsza i ostatnia strona o 50% droższa.

Zakłady Drukarskie F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15.